

Nr 16 (2)

# Anyten Mlek

Marzec 2003

*Nieregularnik intelektualno-artystyczny*

cena 1 zł



# DEJECTION



## Destrukcja

Coś skrzypnęło pod moimi stopami. Spojrzałam na nie. To nie tak miało być. Stopy... miały mnie nieść do celu możliwie najprostszą drogą. I właściwą. Miały mnie spokojnie prowadzić poprzez zgiełk, a nie deptać uczucia, nie tratować istnienia i wyprowadzać na manowce. Na szczęście przechodzący nieopodal drwał poratował mnie piłą łańcuchową. Wolna od zdradzieckich stóp... Na moich rękach dojrzałam krew. Ręce? Też nie były lepsze. Miały być pomocne, wyciągnięte do innych. Miały otulać delikatnie kwiaty i uspokajająco głaskać inne istoty. Miały pielęgnować życie i miłość. Miały być twórcze, przekazywać ważne rzeczy i dawać nadzieję. I co? Były tylko zimne, ciągle zbyt zimne. Nie przynosiły nic poza cierpieniem, poza błędami. Gdziekolwiek je wyciągałam, kwiaty żółkły i padały, wszelkie życie tonęło

we łzach. Miłość? Potrafiły ją tylko niszczyć... Na swoją obronę coś tam tworzyły, było to jednak oczywiste marnowanie kartek.

Za pomocą siekiery szybko i sprawnie usunęłam je ze swojego życia. Wraz z nimi na ziemię coś kapnęło. Łza? Znowu? Za dużo już nieuzasadnionych łez moje oczy wylały. Oczy! Mój Boże, chciałam, żeby były szczere i otwarte, żeby mówiły „jestem obok, tu blisko”. żeby ludzie mogli im ufać. Ale nie.. Nikt nie znajdował w nich tego, czego szukał, czego potrzebował. Nie było tam ciepła ani słońca i nikomu nie dawały oparcia. Ani nadziei. Ci, których chciałam bądź to nazywać Przyjaciółmi, bądź też kochać - widzieli tam tylko zimne błyski odrzuceń. Zbyt często lśniły w nich łzy wywołane cierpieniem przez nie - w ko-

niunkcji z  
dłońmi -  
powodowanym.

Na długim, ostrym haku oko prezentowało się znacznie lepiej. Spojrzałam sobie w oko. Zielone. Ironia, czyż nie? Jakże mu - zieleń? Wyrzuciłam je za siebie, drugiego pozbyłam się zresztą podobnie. Zapadła ciemność. Jeszcze tylko język, łatwo będzie go odgryźć. Tak, teraz już nie powie więcej niczego, co byłoby zimne i smutne, co mogłoby kogokolwiek zranić. W ogóle już nic.

Wolna od wszystkich cielesnych ograniczeń, które w pewnym sensie działały na opak, ułożyłam resztki swojego ciała na zimnej murawie. Nie będę już sprawiać cierpienia - pomyślałam w ostatnim przeblasku świadomości.

Zapadła cisza.

Ale błąd tkwił głębiej...

Zuzia

Lekturę radzimy rozpocząć od **Wstępniaka**  
str. 20 (ostatnia)

## Kruki

Jesteśmy krukami żerującymi na padlinie ludzkich uczuć. Z obłędem w naszych małych ślepkach przyjmujemy jakiegokolwiek uśmiechy, uznając je za manę na pustyni obojętności, wrywamy sobie okruchy ziarna, toczymy walki, dzikie walki o namiastki miłości i przywiązania; patrzymy komuś w oczy i już sami nie wiemy, komu i kim jesteśmy gdzieś w środku, bo w tych oczach widać tylko poszukiwanie uczuć i dziki obłęd, a uczucia nie nadchodzą; nie potrafimy już kochać, gdyż w walce o okruchy odrzucamy miłość, a odrzucone dusze boją się kolejnych porażek, więc czy nie łatwiej po prostu odejść?

Tym sposobem świat staje się pustynią sunących z wiatrem szarości duchów. Słysząc jęki i zawodzenia, tylko czasem ktoś wyrzuci bukiet, żebyśmy mogli mu się przyglądać z zawiścią.

Zuzia

## Opowieść dla Basi

Człowiek jest fikcją. Istnieje tylko gołąb, krążący gdzieś ponad lasem ludzkich myśli, mącący spokój wspomnień. I czasami coś nagle uderza jasnością w przestraszone słońce codzienności. Wtedy wrażenia wypełniają ciszę, tworzy się jakiś nieokreślony korytarz, połączenie między wtedy i teraz, jakby wszystko było tym samym kołem, toczącą się z łoskotem kulą zamkniętą w niewzruszonym oku gołębia. A później gołąb wchodzi do opowieści, tak jak teraz, wszystkie korytarze prowadzą w kierunku światła, któryś podrywa się do lotu i trzepot skrzydeł zagłusza wnioski nieśmiało pukające do „door of mind”. Potem tylko cisza, obłoki nad lasem, znowu zawirowania, krążące gołębie i od początku, tak jak wszystko. Czasami tęsknota, żmija sunąca wśród wysokich traw i kiedyś, w końcu, szczęście, bo trzeba je znaleźć i znajdujemy je wszędzie, gdzie tylko można, my - ludzie, zapominając o małych gołębiach gdzieś w górze, ludzie nieświadomi, szczęśliwi, my - ludzie.

Fikcja.

Zuzia

## Ty, który to czytasz...

Ty, który to czytasz - nie mów nigdy: „Wszystko byłoby takie piękne, gdyby nie ta jedna rzecz”, nie żałuj swoich czynów ani słów, jak ja nie żałuję spojrzenia w czyjeś oczy. Nie myśl nigdy, jakie życie byłoby piękne, gdybyś kiedyś postąpił inaczej, jak ja nie myślę, że mogłabym pisać dla kogoś innego. Ucz się na swoich błędach i naprawiaj, co tylko możesz, ale nie daj się zniszczyć wyrzutom sumienia, nie płacz nadaremnie. Twoje słowo w przeszłości, to, którego tak żałujesz - pomyśl! pomyśl! - nie tylko coś zniszczyło, ale i w jakiś inny sposób wpłynęło na to, co dzieje się teraz. Wzajemne relacje: poszedłbym tam, gdyby... ech, wcale nie wiesz, może poznałbyś kogoś, przez kogo później byś cierpiał, może w ogóle byś tam nie doszedł, może lepiej teraz - jak jest? A

może nie, ale nie wiesz, nie możesz wiedzieć, nie wierz więc w możliwość zmiany jednego tylko wątku w powieści (hie, hie, telenoweli zwanej życiem), to się nie zdarza, chaos deterministyczny i zasada nieoznaczoności, rachunek prawdopodobieństwa przemawia na naszą niekorzyść, niezbadane są drogi Opatrzności, niech się dzieje wola Nieba.

Ty, który to czytasz - pomyśl: ilu pięknych rzeczy mogło by teraz nie być.

Ty, który to czytasz i ty, który odłożyłeś już ten tekst, przetrzuć kartkę: spójrz w niebo i pomyśl, jak naprawdę jest dobrze.

Zuzia



## Ciasto

Robił ciasto. Dodawał po kolei wszystkie składniki. W całym domu pachniało zapowiedzią wieczoru przy kominku i słodczy zmieszanej z lekką goryczą herbaty. Formował ciasto - jego twór, od początku do końca. Nie miało nikogo innego, było całkowicie zdane na łaskę i niełaskę swojego twórcy. Całą ufność pokładało w tym, którego długie palce delikatnie mieszały masę i z wycuciem dodawały po trochu różnych rzeczy. Nieopodal grzał się piekarnik - zapowiedź nieba, zapowiedź spełnienia. W dużej misce powoli powstawało piękno. Gładka masa pachnąca kakaem, mąką, cukrem. Ufnie spała pod okiem tego, który był bogiem dla ciasta w jego półsferycznym świecie. Śniła o spełnieniu i szczęściu, o tej chwili, w której ciszy i spokoju wszyscy siedzą wpatrzeni w ogień; kiedy spory odkłada się na później po to, by rozkoszować się delikatną słodczą ciasta, a wzajemna akceptacja unosi się delikatną mgiełką w powietrzu. Piekarnik się już nagrzał, do nieba było tak blisko...

Obudziło się. Trwało w niemym

oczekiwaniu pełnym radości i ekscytacji. Gwałtownie wbił ręce w ciasto. Rozgrzebał je aż do środka, do samego wnętrza. Z rękami oblepionymi ciemną masą wbijał paznokcie w coraz to nowe miejsca, aż miska była umazana masą, aż poranił sobie palce do krwi, aż jego ręce zniknęły pod warstwą ciasta. I krzyczał, tam w środku krzyczał. Potem uniósł miskę i cisnął nią o ziemię, później deptał, aż ze świata zostały tylko okruchy, aż z jego poranionych odłamkami stóp lała się krew, aż drobiniki ciasta leżały martwo na zimnej podłodze.

Stał pośrodku tego ogromu zniszczenia, zły na tę ufną masę, dla której był jedynym bogiem. Jej spokojna obecność w domu była nie do wytrzymania. Wiedział, że to ciasto mogło tam stać, całe życie będąc gdzieś na skraju jego świadomości, cały czas patrzeć ufnie, ze spokojem, z jakimś śladem zrozumienia w oczach. O tak, ono miało oczy, setki oczu; w niektórych widział smutek, w innych radość, nawet teraz, nawet na zimnej podłodze. Poczucie obecności jakiejś innej, niezrozumiałej

istoty, którą sam stworzył, było straszne. Musiał to zrobić, musiał zniszczyć, inaczej wszędzie by go ściagały te spokojne oczy z blaskiem oczekiwania. Nie zniósłby powrotów do domu, do tej cichej masy patrzącej ze swojego kąta. Musiał ją zniszczyć aż do środka, do samego sedna istnienia, musiał się upewnić, że w każdej drobinie jest już tylko zimna śmierć.

Jak to? Jak to? Czy to jest w ogóle możliwe? Ale dlaczego? Stworzyłeś mnie, aby zniszczyć? Dlaczego? Zimno, boże, jak zimno, jak strasznie... Gdzie ja jestem, co się dzieje, czemu tak boli? Czemu zniknął świat, czemu jest tak jasno, boże, już nic nie widzę, co się stało? Czy jeszcze w ogóle istnieję? Umieram! Odchodzę... Nie było szczęścia, nie było spełnienia... Boże, ratuj mnie!

Twoja nienawiść dusi z trudem złapanym oddechem.

**Zuzia**

## Za drzewem

Pewnego dnia budzisz się w zakłamaniu. Po chwili spostrzegasz, że trwałeś w nim od dawna, że gdzieś pośród tysięcy myśli słońce przestało świecić, a zastąpiła je iluzja. Smuci cię to, bardzo cię to smuci - a droga wyjścia jest trudna... Jeśli w ogóle udaje się jakąś dojrzeć. Częściej masz wrażenie, że jedyne, co możesz zrobić, to wziąć zimny prysznic i wyjechać gdzieś daleko - o, choćby do Argentyny. Ale nie wyjeżdżasz, ponieważ ucieczka od problemów nie jest wcale rozwiązaniem. Zresztą tam też będą jacyś ludzie. Po co generować więcej problemów dookoła?

Uświadamiasz sobie, że wchodzisz na niebezpieczną ścieżkę pytań o cel, wyglądasz więc szybko przez okno. Dostrzegasz zielone (!) w słońcu liście, nie dostrzegasz za to nigdzie zielonych oczu. Cóż, bywa - myślisz i odchodzisz gdzieś dalej, może poczytasz coś, a może sam napiszesz.

A jednak niepokojąco z każdego kąta patrzą na ciebie te oczy - chyba najdalsze oczy na świecie. Chodzisz więc niespokojnie w kółko, tam i z powrotem, rzuca cię po ścianach, od okna do drzwi i tak dalej. Chodzisz i rzucaś się w sobie, wiesz, że musisz z tym skończyć,

wyjść z oczekiwania („... wychodzimy z zimy...“), wrócić do jakiegokolwiek prawdy, choćby prawdą było tylko to, że żyjesz w zakłamaniu.

Krążysz, krążysz po ogrodach szukając aniołów, szukając czegokolwiek, co pozwoliłoby rozwiać mgłę. Boisz się ludzi, boisz się, że zaczniesz szukać w nich pocieszycieli (sic!), że przestaniesz dawać - jeśli w ogóle jeszcze cokolwiek dajesz. Ogarniają cię co do tego wątpliwości, odpędzasz je jednak z mocnym postanowieniem, że tego jednego nie stracisz, że jednak coś z twoich ideałów zostanie.

Ideałów? Otaczają cię ludzie, którzy nie uznają istnienia ideałów, nie uznają w ogóle istnienia czegokolwiek, co im nie odpowiada. Uznają za to drobne przekłamania i Wielką Teorię Nerwicy (sic!).

I jeszcze ta krytyka. Nie ma w niej nic konstruktywnego, żadnych wskazówek. Nic. Wieczne „jesteś głupcem” weszło ci w krew tak, że nawet go nie zauważasz. Zresztą - nie masz siły zwracać uwagi na słowa. Zbyt często spotykasz się z niekonsekwencją, z rękami, które mówią zupełnie co innego niż usta.

Masz też oczywiście Przyjaciół

(jakkolwiek nie wiesz, czy i oni uznają tę przyjaźń), ludzi, którzy przychodzą do ciebie na schody, do ciebie do kąta. Ludzi, z którymi możesz po prostu porozmawiać. Zaufanie działa w obie strony i chciałbyś dawać im coś z siebie.

I jest ktoś, komu chciałbyś dać jeszcze więcej. Niestety, dzieli was gruby mur i nie ma blisko żadnych rąk, nie znajdujesz oczu ani światła, a wiersze zalegają na dnie w szafie - nikt ich nie chce.

Nie wiesz już, czym żyjesz, co jest dla ciebie ważne. Nie masz siły - nie masz motywacji. Wiesz, dobrze wiesz, że powinieneś z tego wyjść, pójść gdzieś dalej, zrobić coś innego.

Uciekasz w poezję i muzykę - uciekasz, za co jeszcze bardziej jesteś na siebie zły. Utwierdza cię to w przekonaniu o twojej głupocie i beznadziejności, co powoduje zanik warstwy ochronnej i niekonstruktywne krytyki zaczynają boleć zamiast się odbijać. W związku z tym denerwujesz się na siebie coraz bardziej i tak w kółko...

Nic ci się nie chce, piszesz więc jakiś dziki tekst.

I wiesz, że piszesz o sobie.

**Zuzia**



## Inspiracja

*To coś inspirowane jest piosenkami zespołów U2 i QUEEN, pewnym albumem o Irlandii, i, w najmniejszym stopniu, życiowymi fanaberiami autora...*

Iść przed siebie drogą. W rękę trzymać kij do podpierania. Nie nieść plecaka, tylko bez żadnych obciążeń, problemów, kłopotów, iść przed siebie. Można nawet iść bez ubrania. I choć staje się to po części egzystencją, a nie życiem, to ten jeden jedyny raz warto byłoby coś takiego zrobić...

Kiedy już osiągniemy najwyższy punkt swojej wędrówki, to znaczy postawimy stopę na szczycie Mount Everestu, to staniemy. Po chwili usiądziemy na okrągłym, wylupanym z jednej strony kamieniu, leżącym po naszej lewej ręce i zapatrzymy się w dal. Bezmyślnie będziemy siedzieć i patrzeć na płynące pod nami obłoki.

W pewnym momencie naszej wędrówki natrafimy na rzekę. Będzie ona duża lub mała. Szeroka lub wąska. Płytką lub głęboką. My jednak nie przejmując się niczym spokojnie ją przekroczymy, przepłyniemy, przejdziemy, a jedyną rzeczą, jaką z tego spotkania zapamiętamy, będzie pamięć o zimnym prądzie rzeki obmywającym nasze styrane stopy.

Las, będący jednym z punktów zwrotnych naszej wędrówki, stanie się dla nas miejscem do odpoczynku. To właśnie w lesie ułożymy się na mięciutkim mchu, w cieniu potężnego i dumnego dębu, i uśniemy. Szum wiatru będzie czuwał nad naszą drzemką.

Pewnego dnia spotkamy na swej drodze deszcz. Krople deszczu uderzą w nasze ciało, na ziemi utworzą się kałuże, a trzymany rękę kij nasiąknie krystaliczną, nieskażoną wodą. Nam nie pozostanie do roboty nic innego, jak tylko skakać z kałuży do kałuży, i śmiać się w niebogłosy. Możemy także krzyczeć, płakać, i w ogóle robić co nam się tylko podoba.

Jeżeli dotrzemy do jakiejś jaskini, to zapewne do niej wejdziemy. W jej brzuchu rozpalimy ognisko, przy którym spędzimy następnych kilka godzin. Gdy ogień zgaśnie, rozejrzemy się po grocie, zbliżymy do ściany, i okrążymy ją całą, aby na samym końcu wejść w tłące się jeszcze ognisko.

W sadzie jabłoni spędzimy dłuższy czas. Będziemy zrywać jabłka, wspinać się na drzewa i ułamanymi gałęziami

rysować na ziemi owalne, trójkątne i kwadratowe znaki. W naszej wyobraźni staną się one symbolami, stanowiącymi odzwierciedlenie jabłek... I tylko my będziemy wiedzieć co one tak naprawdę oznaczają.

Jabłek nie będziemy jeść.

Jezioro okaże się barierą nie do przebycia. Będzie zbyt duże i za dużo w nim będzie ryb, abyśmy w ogóle mogli spróbować je przepłynąć. Dlatego też usiądziemy na jego brzegu, zamoczymy w jego głębinie stopy, a po chwili wstanjemy i okrążymy je.

Dopiero teraz uświadamiamy sobie, że tak naprawdę to chociaż nie wiemy skąd, po co i dlaczego, ale idzie z nami ktoś jeszcze. Najbardziej denerwuje nas to, że nie potrafimy powiedzieć kim ta osoba jest. Jedno co wiemy to to, że z jakiegoś niewyjaśnionego powodu sprawia nam to olbrzymią przyjemność.

Nie myślimy, co myśli ta druga osoba.

W morzu uwagę przykładamy tylko i wyłącznie do fal. Te są w tej chwili wielkie, kilkudziesięciometrowe, wzbijają się w powietrze i nagle opadają, przygniatając swym ciężarem resztę wody. Te potężne istoty uciekają w chwili, gdy tylko się do nich zbliżymy. Uspokajają się, milkną, a my tracimy zupełnie zainteresowanie wielkim błękitem.

Piasek dręczy nas od samego początku wędrówki. Cały czas drażni stopy, wkrada się do oczu, przeszkadza oddychać i zasłania drogę. Jest go tak dużo, że wydaje nam się wszechobecny. Po kilku dniach przyzwyczajamy się do niego, zaczynamy go lubić. Wydaje nam się taki mały, śmieszny i bezbronny.

Wodospad bardzo przypomina nam morze, z tą jedną różnicą, że on przed nami nie ucieka. Trwa, w jednym i tym samym miejscu, a kiedy się do niego zbliżamy, jeszcze wzmacnia swą siłę. Zaczyna grzmieć. Z ust wydobywa się para. My zaś stwierdzamy, że jest on o wiele bardziej interesującym zjawiskiem od morza.

Pięć kamieni stojących w kręgu na polanie nie będzie dla nas znaczyć zupełnie nic. Owszem, zachwycimy się

ich kształtem, powzdychamy nad puszystością trawy, nad jej niezwykłą lazurową barwą. Może nawet na jakiś czas usiądziemy na tej trawie i popatrzymy w niebo. Ale na tym się skończy.

Kiedy znajdziemy rower lub ktoś nam go zaproponuje, to stwierdzimy, że choć nasza wędrówka stałaby się o wiele szybsza i mniej męcząca, to my przecież się nigdzie nie spieszymy, a kolejne kilometry drogi wcale nas nie męczą. Przeciwnie, one sprawiają nam nieopisaną wprost, płynącą z samego wnętrza przyjemność. NIE, za rower podziękujemy!

Obok nas przeleci klucz ptaków. Gołębi, bocianów, ewentualnie jakichś zupełnie innych, dokładniej nam nie znanych. Wzbiją się ptaki w górę, czym zmuszą nas do oderwania wzroku od drogi i skupieniu się na niebie. Błękitnym, niepokrytym chmurami niebie. Dochodzimy do wniosku, że jest ono piękne, i wracamy do naszej ukochanej drogi.

Ktoregoś pięknego dnia, z przydrożnej kępki krzaków napadnie nas królik. Ugryzie nas i pobiegnie dalej. Początkowo, będąc rozjuszeni tak wulgarnym zachowaniem zwierzątka, pognamy z nim. Będziemy mu złorzeczyć i wyzywać od najgorszych. Kiedy uciekający przed nami szarak wpadnie do nory o wszystkim zapomnimy.

W opuszczonej latarni morskiej natychmiast wkroczyliśmy na sam szczyt. Rozpalimy światło i, dniami i nocami, obserwować będziemy świat z góry. Ta perspektywa będzie dla nas strasznie zabawna. Zresztą cała ta opuszczona latarnia morska będzie dla nas dość śmieszna, jakaś taka nierealna, oderwana od rzeczywistości.

Nasze bezmyślne siedzenie i wpatrywanie się w chmury zostanie przerwane przez pojawienie się myśli:

„Przecież ja tak mogę iść bez końca”

Jednakże, aby było ciekawiej, podniesiemy się z kamienia i zejdziemy do miasta, kończąc tym samym naszą wędrówkę. Przez chwilę będziemy jeszcze się zastanawiać nad skokiem z góry. Ale nie!

Jeszcze nie teraz...





## Do szkoły dojeżdżam wukadką...

Do szkoły dojeżdżam kolejką WKD. Już wsiadając pierwszy raz wiedziałam, że jest w niej coś niezwykłego. Dla wielu ludzi to pewnie tylko zwyczajny środek transportu, którym podróżują do pracy czy szkoły. I właśnie ci ludzie sprawiają, że te podróże są takie niezwykłe.

Drugą sprawą są widoki za oknem. Trasa wukadki jest bardzo „pokręcona” (liczy 29 stacji!) i odwiedza wszystkie południowo-zachodnio-podmiejsko-warszawskie tzw. „dziury”. Każdy z przystanków jest na swój sposób charakterystyczny. Na przykład na kostce brukowej mojego (Grodzisk Maz. Okrężna – dla jadących do Warszawy i siedzących w kierunku jazdy drzwi otwierają się po lewej stronie) ktoś wymalował czerwoną farbą swoje poglądy na temat hip-hipu, techno, policji, pomywaczek itd.

W okolicach przystanku Otrębusy (drzwi otwierają się również po lewej stronie) znajdują się duże stare szklarnie z powybijanymi szybami. Człowiek może je ominąć wzrokiem – widok jak każdy inny. Jednak u mnie zapoczątkowały one gwałtowne procesy

myślowe. Zastanowiło mnie, jak ostre są odłamki szkła, które pozostały pomiędzy kratami. Czy ktoś tam przychodzi? Ile osób mogło się nimi zaciąć? Pewnie młodzi chłopcy z okolicy używają szklarni jako tarczy, a kamieni jako strzałek. Ćwiczą celność.

A co w nich rośnie? Na pewno egzotyczne kwiaty, teraz zdziczałe. Jakaś bogata kobieta zażyczyła sobie słodkich

tłuczone szkło, nie tylko z szymbek. Przyzwoici ludzie się tam nie zapuszczają, a nikogo nie obchodzi dalszy los szklarni.

Widok z okna jest jak fotografia. Nie można w nią wejść, nie można niczego przesunąć, żeby spojrzeć, co się za tym kryje. Pozostają tylko domysły i wyobrażenia.



dittchen

### CO CIEKAWE

Kolejka odjeżdżająca o 17:20 ze Śródmieścia zawsze stoi w Podkowie Głównej około pięciu minut z otwartymi drzwiami, wpuszczając do środka mroźne powietrze – chyba żeby obudzić zasypiających pasażerów.

zapachów w domu i wydała na nie sporą sumę pieniędzy, które mogłyby przeznaczyć np. na dotację młodych, początkujących grup aktorskich.

Teraz może spacerują sobie tamtędy weseli menele, a dokoła są wydeptane ich ścieżki i polanki, na których się spotykają. Wszędzie leżą śmieci i po-

PS. Gdyby ktoś, jadąc do szkoły, natrafił na jakiś obiekt warty paru słówek komentarza, czy był świadkiem zastanawiających zachowań ludzi w środkach komunikacji miejskiej – niech pisze! A jeżeli nie czuje się na siłach, by zapisać to na papierze, mogę zawsze spróbować zrobić to sama...

## Milczenie

Tego dnia szatan postanowił pójść na spacer. Wyszedł z piekła, zamykając za sobą drzwi. Poszedł na łąkę. Spojrzał pod swoje stopy i zobaczył, że uśmiecha się do niego stokrotka. Rozdeptał ją swoim glaniem. Podniósł głowę i zobaczył, że inne stokrotki przestały się uśmiechać i stuliły płatki. Ale nadal nie było mu dobrze. Ponad nim śpiewały ptaki, uśmiechając się do niego z góry. Rzucił w nie kamieniem. Ptaki odleciały. Lecz szatanowi nie było lepiej. Poszedł więc nad staw. Ale tam zobaczył, że spod wody uśmiecha się do niego mała rybka. Wyjął ją z wody i zaniósł daleko od brzegu. Wrócił i zobaczył, że inne rybki odpłynęły. Lecz nie zrobiło mu się od tego lepiej. Popatrzył na wodę i zobaczył swoje odbicie. Zmacił wodę. Żałował, że w ogóle wyszedł z domu. Poszedł więc do miasta. A tam ludzie się spieszyli, spóźniali, kłócili, rozchodzili, zapominali. Szatan szedł przez miasto i cieszył się. Pod pubem stał smutny anioł, więc szatan zaprosił go na piwo.

Witos

## Firanka

Cóż może być niezwykłego w białej wiszącej za oknem haftowanej firance? A dlaczego w ogóle miało by być w niej coś fascynującego?! Przecież jest zwykłym kawałkiem materiału. A jednak... Gdy tak sobie wisi, gdy tak sobie drga. Gdy wiatr mocniej zawieje. Gdy muzyka przerwie ciszę. To, to, to ona wygląda jakby się bała drganie przeradza się w jąkanie, swobodny zwis w bezsilność, nagle szarpnięcie materiału jest niczym innym jak tylko skuleniem ciała, Ona żyje, lub stwarza pozory życia Pozory bycia człowiekiem Malutkim przedmiotem zagubionym w wielkim pokoju Malutkim człowieczkiem zagubionym w wielkim świecie Próbującym uciekać od zimna dworu materiałem Próbującym uciekać od rzeczywistości świata - człowiekiem Brudzącą się białą przesłoną Starzejącą się kolorowym – człowiekiem Wędrującą do pralki zwykłą firanką Wędrującą do grobu zwykłym człowiekiem...

A.



## Jeszcze jeden tekst o miłości

...bo wy myślicie, że nikt inny nie ma prawa do kochania, a nawet jeśli - kobieta istnieje w jednym z dwóch stanów: „kocham mnie” albo „nie chce mnie”, nie uznając w ogóle możliwości jej zakochania w kimś innym. Zupełnie jakby kobiety zakochiwały się wtórnie, na zasadzie „pokocham go, bo on mnie kocha”. A miłość tzw. romantyczna?

Wiersze miłosne pisane przez mężczyzn zwykło się traktować jako wyraz wielkiego uczucia. Kobiety? Niech któraś spróbuje taki wiersz napisać, a wyzwa ją od wielbicielek, idiotek i łatwych. Romantyczna miłość w wykonaniu kobiety zawsze jest postrzegana jako zauroczenie, zatracenie, zidiocenie... Zawsze spływająca do ślepego uwielbienia.

Mężczyźni przystoi zakochać się „na zabój”, pisać listy, nie spać po nocach, czekać na miłość i walczyć o ukochaną.

Kobiecie po prostu nie wypada choćby czekać, bo zaraz staje się dramatyzującą wielbicieleką.

Dla mężczyzny cienie śladów ukochanej mogą - a czasem wręcz się tego oczekuje - być niemalże święte. W przypadku kobiety takie myślenie jest infantylne.

Czy kobiety nie są ludźmi? (Pozdrowienia od Elizy Orzeszkowej :))

Miłość to przede wszystkim dojrzenie w kimś człowieka - i zaakceptowanie jego (tylko i aż) człowieczeństwa. A przecież rzeczą ludzką jest kochać. Nie można powiedzieć, że się kogoś kocha, jeśli nie potrafi się przyznać mu prawa do zwykłego zakochania się w kimś - w kimkolwiek!

Powiedzieć komuś: „bądź szczęśliwa i nie przejmuj się tym, że cię kocham”, a potem odejść - jakie to piękne! Jakie honorowe! A jakie trudne... Takie

„odchodzenie” w wykonaniu kobiet nie jest traktowane (i oceniane) w kategorii wyrzeczenia, ale fałszu i niestałości w uczuciach.

Powiedzieć komuś: „nie potrafię cię tak do końca pokochać, ale postaram się, żebyśmy byli szczęśliwi”, to dobrowolnie oddać się świętej Inkwizycji; to samemu podpalić swój stos. A przecież nie tak łatwo odzwyczaić się od życia jakąś-tam miłością (choćby niespełnioną) - nie tak łatwo z niej zrezygnować.

Podświadomie zakładamy, że to nie drugi człowiek, ale miłość - nasze wyobrażenie o niej - jest najwyższą wartością.

A to nieprawda.

(Przynajmniej ja tak sądzę...)

Zuzia

## Zaloty i Swaty, czyli Wukadki Część Druga

Wracalam późnym wieczorem do domu, zmęczona i zła, że znowu będę musiała jechać 52 minuty zanim dotrę do domu, marznąc i zasypiając na siedząco. Na moje szczęście grzały siedzenia, więc nie było aż tak źle. Mniej więcej w okolicach Podkowy próbowałam zająć myśli czymś pozytywnym, gdy wsiadł pewien mały, „lekkko” podpity pan. Nie raz już go widywałam, jak tańczył po peronie stacji W-wa Śródmieście WKD. Zauważył grupkę młodych ludzi, pewnie licealistów, i zaczęło się robić ciekawie. „Ty jesteś... pikna dziewczyna!” zawołał w kierunku jednej z przedstawicielek polskiej młodzieży rodzaju żeńskiego. Siedziała z koleżanką i chyba nie była w zbyt dobrym nastroju. „A ty nie” odpowiedziała. „Ale niech się pni na mni ni gniwa” ledwie wybelkotał „Pni się nie gniewa”. „Gniewam się” odparowała. „A to ja przprzszm”, wyseplenił „Ale jesteś najpikniejsza dziewczyna na świecie”. Jeszcze tak się trochę przekomarzali, przy wtórze śmiechów kolegów i koleżanek napastowanej dziewczyny. Potem się od niej odczepił i zaczął prawić komplementy innej, do nie dawna stojącej w otoczeniu czterech facetów, teraz już tylko w towarzystwie jednego. „Ty jstęś... szlyczna dziewczyna!” zaczął. „A, dziękuję” odpowiedziała. Teraz się przyczepił do chłopaka. „To jst pikna dziewczyna, nie?”. Chłopaczek, głęboko zawstydzony, że go ktoś zaczął w tak

tajemniczej dziedzinie jak zaloty koleżanek, coś odburknął nerwowo chichocząc. „To twww... twoja dziewczyna?”. Cóż mogło wywołać to stwierdzenie w grupie znajomych jak nie kolejną salwę nerwowego śmiechu? „Nie, nie” wzbraniał się chłopaczek. „A czemu?” wypytywał. „To jst ładny chopak” zwrócił się do dziewczyny „Ładny chopak, nie?”. Tak parę minut próbował jeszcze ich swatać, po czym znowu rozpoczął prawienie komplementów do drugiej dziewczyny. „Ty jystś pikna dziewczyna!” rozprawiał „Gdy na cieie patrz...”. Tu się na parce sekund zaciął, przy czym młodzi oczekiwali w milczeniu, co też tym razem staruszek wymyśli. Po chwili sobie widocznie przypomniał, o czym mówił, ale, jako że zapewne pamięć trochę mu szwankowała, zapomniał, czym miał zakończyć to obiecujące zdanie wyrzekł tylko te trzy słowa: „...to cie widze!”. Wywołało to zdanko niesamowite poruszenie i, po parokrotnym jego powtórzeniu, młodzież polska nauczyła się go na pamięć i zaczęła samodzielnie się nim posługiwać. „Troche sobi popiłem... ale nich si pni nie gniewa”. Wciąż powtarzał to samo, aż towarzystwo dotychczas zainteresowane się przesiadło. Mały człowieczek (o zgrozo!) zajął zwolnione miejsce obok mnie, ale ja byłam rozbawiona jego zachowaniem i wydał mi się taki dobrotliwy, więc powstrzymałam się od ostentacyjnej

przesiadki. Zaczął swoje „pikne dziewczyny”, „najszybciej dzwczyny na świecie”, aż w końcu, zachęcony moją względną tolerancją (powoli zaczynałam sobie uświadamiać, jak bardzo ciągnęło od niego wódką), porównał mnie do jakiejś kobiety i zaczął opowiadać o swojej ciotce, która miała z nią coś do czynienia. Nie zwracałam zbytniej uwagi na to, o czym mówił, tylko zapewniałam, że się nie gniewam i starałam się nie myśleć o tym jego ciekawym zapachu. Marzyłam tylko, żeby w końcu wysiąść, „jeszcze tylko jedna stacja...” przewijało mi się ciągle w głowie. Już powoli zaczynałam tracić cierpliwość do owego pijaka, gdy znowu zainteresował się w/w grupką i dał mi spokój. Nie powiem, co się wydarzyło potem, bo bardzo szybko, nie oglądając się za siebie, wyskoczyłam na mojej stacji. Jeszcze zanim ruszyłam do domu, pozwoliłam sobie na głębokie i pełne ulgi odetchnięcie - w końcu na świeżym powietrzu!

dittchen

### CIEKAWOSTKA:

Na niektórych rozkładach jazdy są wyróżnione dwie stacje Podkova Zachodnia - kierunek: Grodzisk i kierunek: Milanówek. Nie wiercie im. Te stacje (jeśli już się uprzeć do liczby mnogiej) są oddalone o 10 metrów, a tory i tak jeszcze przez kolejnych parnaście biegną równolegle.



Pewnego razu Jasność postanowiła stworzyć świat. Chciała powołać do życia kilka jasnych stworzonek, które żyłyby sobie dobrze i szczęśliwie. Musiała wydzielić im odpowiedni teren. Z pomocą aniołów znalazła odrobinę wolnego miejsca. Usunęła możliwie najwięcej ciemności i tchnęła w ten obszar powietrze. Wymyśliła sobie bowiem, że te nowe istoty będą oddychać właśnie czymś takim. Miała już dokładny obraz świata. Pozostało tylko stworzyć to wszystko, co już dawno tkwiło w jej myślach, powołać do życia. W mgnieniu oka pojawiły się lądy i morza. Jasności bardzo zależało na tym, aby świat, który tworzy, był bardzo urozmaicony. W nowym świecie miało być zielono. Jasność stworzyła więc rośliny, które miały w przyszłości cieszyć ludzkie oczy. Potem pojawiły się zwierzęta. Człowiek miał panować nad nimi, a także ogarnąć je opieką. Miały one uczyć ludzi miłości i poświęcenia. Było strasznie dużo gatunków zwierząt. Człowiek miał za zadanie uważnie je obserwować i uczyć się od nich tego, czego sam nie potrafi. Nadszedł w końcu dzień, w którym powstał człowiek. Jasność powołała do życia kilku ludzi. Każdy z nich był inny. Miał inny kolor skóry, włosów, inny kształt nosa, ust, różną długość palców, różny wzrost, masę... Każdy miał zupełnie inną osobowość, inny charakter. Jasność chciała, aby pomimo różnic, tego, co ich dzieli, żyli ze sobą zgodnie i darzyli się miłością.

Następnie Jasność usunęła się w kąt. Stamtąd chciała uważnie obserwować swoje nowe istoty. Poprosiła anioły, aby specjalnymi igłami zrobiły małe dziurki w powłoce świata. Przez takie dziurki chciała oglądać ludzi. Nie przewidziała jednak, że powietrze, które rozpuściła w świecie będzie chciało wydostać się przez te otwory. Musiała więc kazać aniołom naszyć na nie łatki, aby powietrze nie miało ujścia. Raz na jakiś czas jednak prosiła je, aby robiły nowe dziury. Nie mogła pohamować ciekawości, z jaką przyglądała się życiu...

Ludzie nazwali te dziury gwiazdami. Nazwali też wiele innych rzeczy. Bardzo interesowali się wszystkim, co ich otaczało. Szukali odpowiedzi na pytania, które z prędkością wiatru rodziły się w ich małych, śmiesznie owłosionych główkach. A że na tyle pytań nie znali odpowiedzi, wymyślali je sobie.

Wkrótce wyobrażenia ludzkie zaczęły mieszać się z rzeczywistością, przenikać ją. I już nie dało się odróżnić świata stworzonego przez Jasność od wymysłu człowieka.

Człowiek bez umiaru ufał zmysłom. Nimi poznawał świat. Dotykał trawy, drzew, liści, wachał i smakował. Gdy po raz pierwszy połknął owoc, niezdrowo się zakrztusił. Zauważył jednak, że mimo końcowego, niezbyt przyjemnego efektu, zjedzenie słodkiej, soczystej piłeczki sprawiło mu ogromną przyjemność. Pokazał to innym ludziom. I wkrótce wszyscy nauczyli się jeść. To zrodziło w nich potrzeby. Nie mogli już zadowolić się jednym jabłkiem raz na jakiś czas. Chcieli więcej, i więcej... Aż w końcu same jabłka przestały im wystarczać. Wtedy po raz pierwszy człowiek zabił zwierzę.

Gdy pierwsza kobieta rodziła dziecko, zgromadzili się wokół niej wszyscy ludzie. Stanęli wkoło i patrzyli na zupełnie nową dla nich sytuację nie tylko szeroko rozwartymi oczami, ale i każdą kropelką potu, które pojawiały się jedna po drugiej na całych ich nagich ciałach. Trzęśli się miotani przerażeniem, zdziwieniem i bezradnością wobec nieznanego. Nie wiedzieli, co robić, jak się zachować. Stali tylko z rozłożonymi rękoma, bezsilni. Bali się podejść do wijącej się z bólu kobiety. Myśleli sobie, że to może jakieś złe demony zawładnęły tą piękną kobietą. Wyglądała



ona teraz strasznie, przerażająco... Jej twarz była niemalże purpurowa, cała spuchnięta od łez i zmęczenia. Kobieta krzyczała trzymając się gorączkowo za brzuch.

– Zróbcie coś do cholery! Nie stójcie

tak, kretyni! – wyrzucała z siebie słowa pomiędzy jednym jęknięciem, a kolejnym. Popchnięta impulsem kobieta przyglądająca się dotąd bezczynnie, podeszła do rodzącej chwiejnym krokiem. Zimną, pełną dreszczy dłonią dotknęła jej rozpalonego kolana. Kątem oka dostrzegła jakieś małe, śliskie ciało tkwiące pomiędzy nogami kobiety. Wyglądało to zupełnie jak maleńka, ludzka główka. Dotknęła niepewnie nowego stworzonka. Zobaczyła zaciśnięte mocno powieki dziecka. Potem pojawił się śmieszny, okrągły nosek. Tuż za nim wydostały się małe usta, wypełnione wcale nie małym krzykiem. I już niedługo kobieta trzymała niezwyklej miniaturkę człowieka. Maleństwo było śliczne, miękkie i bardzo delikatne. Kobieta położyła dzieciątko na brzuchu matki, z której nabrzmiałych piersi wytrysnęło kilka kropelek białego płynu. Obserwujący tę niecodzienną scenę zgromadzeni od razu skojarzyli tę substancję ze smacznym, kozim mlekiem, jakie znali. Dziecko zaczęło zlizywać ten płyn z piersi matki. Wyczerpana kobieta przytrzymała swoimi ciepłymi dłońmi małe, puszyste ciało. Koniuszek swojej piersi włożyła głębiej w dziecięce usteczka. Poczula lekko łaskoczące ssanie. Uśmiechnęła się. Była strasznie zmęczona długim, bolesnym porodem. Tak wykończona, że nie miała siły, aby wstać. Każdą część jej ciała przeszywał nieprzyjemnie intensywny ból. Mimo to była szczęśliwa. Podobała jej się ta mała, ssąca teraz cicho pokarm z jej ciała istotka. Poczekała, aż mała skończy jeść.

– Pomóżcie mi wstać. Nie mam siły, żeby samej się podnieść. – powiedziała następnie prosząco do świadków narodzin. Przystąpiło do niej dwóch wysokich i silnych mężczyzn. Unieśli kobietę i przenieśli ją pod rozłożyste drzewo – miejsce jej spoczynku. Ułożyli ją najdelikatniej jak tylko zdołali i przykryli ciepłym kocem splecionym z trawy. Jej małego człowieczka położyli tuż obok i równie ciepło opatulili.

– Będę czuwał przy was – zdeklarował się jeden z mężczyzn – przy mnie nie stanie wam się nic złego. Będę się wami opiekował.

Tego mężczyznę kobieta nazwała ojcem.

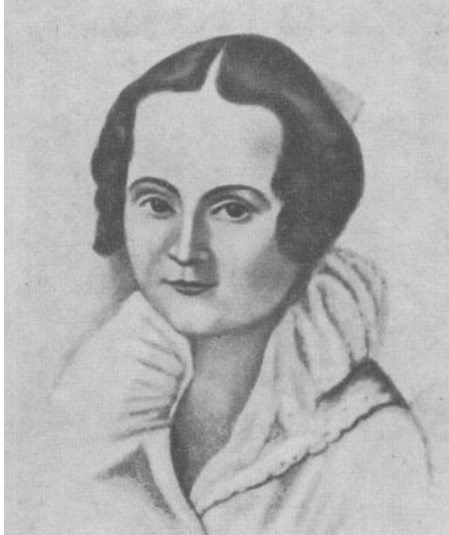
Anna Galuhn



# Dostojewskiego „Nietoczka Niezwanow“

„Ta słaba kobieta, mając trzydzieści pięć lat, była matką ośmiorga dzieci (...). Po urodzeniu ostatniego dziecka (w lipcu 1835 roku) choroba płuc poczyniła gwałtowne postępy.

Poszczególne momenty tej powolnej agonii odtworzył Dostojewski w swej



**Maria Dostojewska**

nieukończonych powieści „Nietoczka Niezwanow”, opisując umieranie swej chorej na gruźlicę bohaterki, cichej i nieszczęśliwej Aleksandry Michajłowny, złamanej zazdrością i mściwością swojego męża.”

To o matce pisarza, z biografii napisanej przez Leonida Grossmana. Maria Fiodorowna, o której mowa, umiera w 1837. Fiodor ma wtedy zaledwie szesnaście lat. Trudne życie matki i jej śmierć wywierają silny wpływ na twórczość pisarza...

„Nietoczka Niezwanow”... Włożyłam zakładkę pomiędzy pożółkłe kartki biografii Dostojewskiego. Zamknęłam książkę. Otworzyłam inną. Na stu pięćdziesięciu stronach narysowana była pewna historia. Opowieść o skrzypku, wielkim talencie jednej nocy – obraz z przeszłości Dostojewskiego, kiedy to ogromne napięcie w środowisku literackim przytłoczyło pisarza, zniewoliło psychicznie. „Jestem jak zaczadziały – pisze Dostojewski w jednym ze swoich listów – Nie widzę życia, nie mogę się opamiętać; brak mi czasu na naukę. Chciałbym się jakoś ustabilizować. Stworzono mi wątpliwą sławę, a ja nie wiem, jak długo trwać będzie to piekło.”

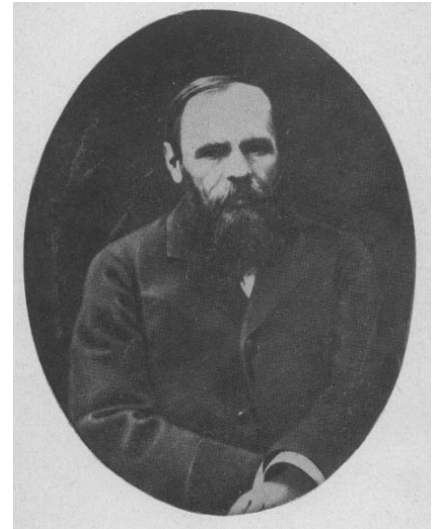
Dostojewski miał talent, wielki dar pisania. Ale „talentowi potrzebny jest oddźwięk, trzeba, żeby go rozumiano, a zobaczysz, jakie obstąpią cię typy, kiedy się chociaż trochę przybliżysz do celu. Będą cię mieli za nic i z pogardą będą patrzeć na to, co się w tobie ukształtowało za cenę ciężkiej pracy, wyrzeczeń, niedojadania, bezsennych nocy. Nie zachęcą cię, nie pocieszą przyszli towarzysze; nie wskażą ci, co w tobie dobre i prawdziwe, lecz ze złośliwą uciechą podchwycą każdy twój błąd, będą podkreślać to właśnie, co w tobie błędne, to, w czym się mylisz, i pod maską obojętności i wzgardy będą radośnie notować każdą twoją omyłkę (jak gdyby ktokolwiek ich nie popełniał!). (...) będziesz sam, a tamtych dużo; oni cię szpilkami zakłują.” (fragment „Nietoczki”)

Skrzypek, ojciec tytułowej bohaterki, pogrąża w nędzy nie tylko siebie, ale i swoją żonę, za którą bynajmniej nie wyszedł z miłości, oraz córkę, która kochała go ślepo najbardziej na świecie, nie widząc w nim łajdaka i alkoholika...

Aleksandra Michajłowna, wspomni-ana już we wstępie, przygarnęła dziesięt-

cioletnią sierotę, Nietoczkę Niezwanow, pokochała jak własną córkę. Sześć lat później, czując wiszący nad Aleksandrą cuchnący swąd śmierci, nadszedł czas pożegnania:

„– Dawniej było przy mnie mnóstwo



**Fiodor Dostojewski 1882**

ludzi, nie wiesz tego, Nietoczko. Opuścili mnie wszyscy, wszyscy odeszli, niczym widma. A tak na nich czekałam, całe życie wyglądałam; no, Bóg z nimi! O, popatrz, Nietoczko: widzisz, jesień się kończy; wkrótce spadnie śnieg: a przy pierwszym śniegu umrę. Tak. Ale nie martwię się. Żegnaj!

Twarz jej była blada i wychudła; na policzkach płonęły złowieszcze krwawe plamy, spieczone od wewnętrznego żaru wargi drżały.

Podeszła do fortepianu i wzięła kilka akordów; w tym momencie z traskiem pękła struna i zadźwięczała przeciągła skarga...

– Słyszysz, Nietoczko, słyszysz? – rzekła nagle Aleksandra Michajłowna jakimś uroczystym tonem, wskazując fortepian. – Tę strunę zbyt mocno, zbyt mocno naciągnięto; nie wytrzymała tego i umarła. Słyszysz, jak żałośnie umiera dźwięk!”

Niedosyt, ogromny niedosyt każe mi ciągle przewracać strony „Nietoczki”. Zima. Śnieg. Pierwszy już dawno został zdeptany. „Wszystko to jak gdyby mignęło mi przed oczyma.” – tak się kończy ta nieskończona opowieść...

## Gwiazdy na Niebie

Co mają znaczyć gwiazdy na niebie?  
Co mają znaczyć ludzie w potrzebie?  
Co ma oznaczać moja niedola?  
Co ma oznaczać silniejszych wola?

Czymże jest dla mnie ludzka nadzieja?  
Czymże jest wiara, mądra idea?  
Czymże są dla mnie kwiaty na łące?  
Czymże są lasy, w grzmocie ginące?  
Czy nie ma wyjścia z tego losu koła?  
Czy nie ma ujęcia? Któż uciec zdoła?  
Kto uciec chce? Kto sobie podola?  
Ktoś nie chce zmykać z Ziemskiego sioła.

Ktoś szuka prawdy, szuka odpowiedzi.  
Ktoś szuka znaczenia doczesnej gawiedzi.  
Nie człowiek jeden, sam nikt tu nie jest.  
Nie człowiek jeden, pomocny gest.

Trzymam się życia, kocham je sobą.  
Trzymam się śmiechu, miłością jest moja.  
Trzymaj się ludzi, póki jeszcze stoją.  
Trzymaj się siebie, póki są wraz z tobą.

ditty

**Anna Galuhn**





# Wyjęzyczenia

## Prof. W. A. Łuczniak (fizyka)

- Powiększenie jest wielkością addytywno – multiplikatywną. Przetłumaczyć na polski? – chyba nie trzeba.
- Nie patrzcie w laser, bo mu to szkodzi.
- To nie jest igła. To jest była szpilka. Ja jej tylko główkę odciąłem.
- Posługiwanie się mężczyzną jest trudniejsze niż tresowanym lwem. I o wiele bardziej niebezpieczne.
- Jeśli wszystko odbija, to jest światło białe, a jeśli wszystko pochłania, to jest to światło czarne. Teraz państwo rozumieją różnicę między blondynką, a brunetką!
- [rozwiązując zadanie]: Coś pomnożyć, podzielić, posolić, pomieszać...
- Nie, no ślimaki to zaiwaniają tak, że nie wiedzą, którędy do domu wrócić.
- Bo mi się ustrój z czym innym kojarzy... a rozstrój jeszcze z czym innym.
- Jak temperatura wzrasta do 300K to rdzenie atomowe zaczynają się poruszać, hulaj dusza mówią, dyskoteka!
- Ja nie będę mówił, co robią te dwa elektrony, bo to dozwolone od lat osiemnastu.
- Prosimy Pana Sebastiana, żeby nam powiedział do jakiego ładunku naładował się Pan Kondensator.
- Wiecie co to jest myślenie?... Użyźnianie tkanki na której rosną włosy.
- Ja nie będę mówił, jak miał na imię Pan Izaak, który to wymyślił.
- [patrzac wściekłym wzrokiem na komputer] Co za draństwo! Nie chce mi wyjść! Tak to jest... kupujcie telewizory... szampon z odżywką ze skrzydełkami...
- Popatrzymy na mamę ziemię od spodu... to niezbyt przyzwoite, ale co tam
- Wskazówka wychyla się o jednakową ilość kresssss... [do wskazówki] TY, ty się wychylaj, nie kompromituj mnie.
- - Prof.: Kartofle można kroić na kawałki i też wyrosnie.
- Ucz.: Cała roślinna?
- Prof.: Nie, liść!
- Torus to kielbasa bez początku i końca.
- Archimedes nie powiedział: „Dziś wieczorem odkryję Prawo Archimedesa i zrobię to w wannie!”.
- - Prof.: Ten kto nie umie sprawdzać swoich obliczeń utopi się w bagnie.
- Ucz.: Toniemy!
- To wam da tak do wiwatu, że ręce

opadną... oczywiście wasze, przecież nie moje.

- Grunt to dobre odżywianie! A najlepsze są jajka na miękko (...) Do mierzenia czasu gotowania jajek służy chronometr jajcarski.
  - Przez trzy punkty można poprowadzić nieskończenie wiele prostych pod warunkiem, że proste są dostatecznie szerokie, a punkty dostatecznie duże.
  - Ten dolny z tym górnym się pochłona, ale nie mówcie tak na matematyce, bo to się fachowo skracaniem nazywa.
  - Te żaróweczki są absolutnie identyczne, tylko że każda z nich jest inna.
  - (koleżanka): Ja nie rozumiem. Jak można mówić o kącie pomiędzy czasem...?
  - - Prof.: Ta kreda jest do powietrza, czyli do chrzanu.
  - Ucz.: To może ja przyniosę inną?
  - Prof.: Nie, po co, ja mam kredy mnóstwo... mógłbym jeść kredę!
  - Punkt matematyczny ma chudość całkowitą.
  - Jak człowiek skoczy z wysokości dwóch metrów, to mu się nic nie stanie chyba, że jest chory i mu się poodrywają flaki.
  - - Prof.: W Aleksandrii - co to jest Aleksandria to wy wiecie? - wybudowano olbrzymią latarnię morską - co to jest morze, to wy też wiecie? (...) Duński astronom obserwował zaćmienie jednego z 12 księżyców Jowisza - kto to był Jowisz to państwo wiedzą... mieszkał na Olimpie...
  - Ucz.: Nie! Na Olimpie mieszkał Zeus. Jowisz mieszkał w Rzymie!
  - Prof.: A, taaak. Prawda! I miał żonę Heterę!?
  - Ucz.: Nie, to była Hera - żona Zeusa. Była jego siostrą.
  - Prof.: A, Hera i Hetera były siostrami.
  - Ucz.: Nie!!!
  - Prof.: No dobrze, kuzynkami...
- ## Prof. A. Hnydka (biologia):
- Inteligencja – cecha męcząca.
  - To jest taka badziewna dyskusja pod tytułem „Barachło”!
  - [do ucznia] Co Cię tak sflaczyło?
  - [widząc, że kilka osób chce zadać pytanie] Co? Powiedziałam cztery słowa, czas na pytanie?
  - Prof.: (patrzac przez okno) ...liście lecą... idzie Pani Profesor Kramek... niesie banany i precele... będzie jeść...

Ucz.: A liście lecą...

- (...) nosi nazwę walca osiowego, a w ogóle to dzisiaj przymarzłam do siodełka.
- [o koleźce] Jakbym była jego matką, to bym go bez smyczy i kagańca z domu nie wypuściła.
- Męski pręcik to jedynie główka!
- No to, co ma porcelana wspólnego z prosiaczkim?... Ślimaka!
- Mocz się wysiusiwał otworkiem, bowiem każdy worek ma otworek!
- Jak się rozpaskudzicie, to będziecie myśleli, że wszyscy mają rozum.
- [o motylicy wątrobowej] Ma w wątrobie własny kącik, co wypije, to zakąsi!
- Wtedy myślano, że kobieta jest tylko wylegarnią...
- Wedle tej teorii w liszce mógł rosnąć człowiek o nieśmiertelnej duszy. Toć to horror!
- Mezoglea to organiczny kisiel.
- Krażkopławy postawiły na meduzę.
- Dla tasiemca jesteśmy jedynie zabeltaną wodą.
- [o glistach ludzkich] 10 kilogramów glist... raj dla wędkarza...
- Kloaka to otwór do wszystkiego.
- Ucz.: Ssaki pochodzą od ptaków...
- Prof.: Tak... a formą pośrednią jest anioł?
- Na razie moją zasługą jest erekcja piórnika.
- Ślimak ma język na początku nogi.
- [do rozmawiającego kolegi] Zamknij swoje rostrum!
- Czy uważasz, że kapeć jest symbolem żeńskich otworów płciowych?
- Niektórzy mają aparat gładzący, a nie gębowy.
- Oczy kręgowców to idiotyzm ewolucyjny.
- Przypomnę więc, choć to mnie wkurza, te odnoża...
- Czy chcesz powiedzieć, że Jagiellonowie przy każdej erekcji musieli potwierdzać przywileje?!
- Nabłonek z młotem i sierpem nie ma nic wspólnego!
- Ucz.: A skąd tam się bierze kamyceczek?
- Prof.: Tak, jak kości... biorą się... nie trzeba połykać.
- Ucz.: Pani Profesor, czy mogę iść do toalety?
- Prof.: Tak... w rytmie cza-cza zwiewaj do klopa...
- Wyższość samicy i samców jest względna. Można się zamienić.



## Wyjęzyczenia

• Prof.: Samiec musi samicę rozerwać...

Ucz.: A ona się broni?

P. Prof.: Nie wiem... może kona z rozkoszy...

• Tasiemiec nieuzbrojony nie może stać się uzbrojonym tak, jak ty nie możesz być gorylem.

• ... **jego** macica wygląda, jak sznur serdelków.

• Nikt tyle seksu nie użyje co tasiemiec, bo tasiemiec to seksualny odmieniec.

• Z dialogów na przerwie:

- Ucz.: [do koleżanki] Jesteś starą czarownicą z wielką, paskudną brodawką na nosie!

- Prof.: Do mnie mówisz?

- Ucz.: [do innej koleżanki, w innej sprawie] No a nie?!

### Prof. E. Błahuta (matematyka) oraz P. Praktykant

• - Prof.: Co ty tam napisałeś? Nie rozumiem!

- Ucz.: Przepraszam...

- Prof.: Za błędy się nie przeprasza, za błędy się płaci.

• O matko, jacy wy jesteście niewykształceni.

• - Prof.: Odezwijcie się!

- Klasa: ???

- Prof.: Jak nie chcecie do mnie mówić, to będziecie do mnie pisać!

• - Prof.: Czy wszyscy wszystko rozumieją?

- Ucz.: Nie, ja nie rozumiem. Bo taki ciągnik, dwa koła...

- Prof.: Cztery koła ma ciągnik!

• Nie wiem, jak chcecie to zadanie rozwiązać, ale ja podeszłabym do tego rzemieślniczo i bez polotu.

• Czy wy wiecie, co to oznacza? Przecież nie napisałabym trzech kropek, gdyby tam miała być niespodzianka typu pięć.

• - Prof.: Ciąg geometryczny – dobry jak każdy inny...

- Ucz.: Mógłbym polemizować.

• - Ucz.: Czy jest zastosowanie tego wzoru?

- Prof.: Nie, to taka sztuka dla sztuki.

- Ucz.: Czyli tak, jak zwykle.

• Więcej rodzajów nawiasów nie znam, więc zmienmy metodę.

• Nie ma ważnego i mniej ważnego spójnika logicznego!

• Tak! Pewnie! Trzeba iść z postępem, zamiast cztery pisać dziewięć.

• - Prof.: Jest cztery po szóście...

- Ucz.: Ale u mnie jest jeszcze dziewięć, więc się zaokrągliła do pięć!

- Prof.: No co ty?

• To bardzo dobry pomysł, ale fragment rozwiązania jest chyba bez udziału twojej świadomości.

• - Ucz.: Co to znaczy ortogonalny?

- Prof.: Czy wy się uczycie choć trochę angielskiego?

- Ucz.: Yes...

• Punkt przecięcia tych dwóch, to jest wierzchołek jeden.

• Praktykant: Punkt P mamy gdzieś...

• Praktykant: Okrąg o ujemnym promieniu jest wpukły.

• - Prof.: Co teraz robimy?

- Ucz.: Wykwadratujemy to...

- Prof.: Ja cię zaraz wykwadratuję!

• Zakujmy  $x$  w moduł!

• - Prof.: Jak ustalić punkty przecięcia?

- Ucz.: Układ równań.

- Prof.: Ale jak?

- Ucz.: Narysować klamerkę!?

• Praktykant: To jest  $\pm$  pierwiastek z tego chłamu!

• - Prof.: Dlaczego nie otrzymaliście tej postaci?

- Ucz.: Bo my dążyliśmy do jednej zmiennej.

- Prof.: A co ja robię [spojrzenie na zegarek] od dziesięciu minut!?

• Jak się pomylę to mnie poprawicie... jak zwykle.

• - Prof.: Dokończyliście zadanie z lekcji?

- Ucz.: Ale Pani Profesor, nie trzeba było...

- Prof.: No, na pewno! Tak mówiłam: Nie róbcie tego dzieci, bo się zmęczycie?!

• Napiszemy dwa rozwiązania, żeby nie było, że nie umiemy pierwiastkować.

• - Prof.: Posługiwanie się dowodem indukcyjnym w tej sali (014) ma chyba sens?

- Ucz.: Nie, tym razem nie rozumiem dowcipu...

• - Ucz.: Mam pomysł nie do odrzucenia. Pomnóżmy te równania obustronnie przez „0”. Stracimy, co prawda, kilka rozwiązań...

- Prof.: Świetnie! Otrzymamy wtedy płaszczyznę, ale gdzieś ten okrąg tam na pewno będzie!

• - Ucz.: Ja nie chcę sugerować, że Pani Profesor zrobiła błąd przy przepisaniu zadania, ale ta cięciwa nie ma z elipsą żadnego punktu wspólnego...

- Prof.:

Mogłaś sobie poprawić!

• [zadając pracę domową] Proszę nie płakać, proszę przepisywać!

• Nie to, żeby ja była antyglobalistką, ale co to w ogóle za sformułowanie: „ekstremum globalne”?

• Zadanie obierzemy z fizyki... obierki wyrzucimy do kosza...

• Ta parabola położona jest wierzchołkiem w górę.

• Z tego zadania wynika, że pokrywka to nie jest to samo, co dno.

• - Prof.: Czy zbadaliście monotoniczność tej funkcji?

- Ucz.: Nie...

- Prof.: No tak, jasne. Po prostu wszyscy dobrze się bawią!

- Ucz.: Chyba tak powinno być!?

• Ucz.: To wyjdzie bardzo ładny piętrosek... a to po prawej, to jakiś niezajomy...

• - Prof.: Nawias nie wiem po co...

- Ucz.: Dla wprawy!

• Przewalkowaliście ten przykład w domu, więc czujecie do niego lekkie obrzydzenie, ale rozwiążmy go raz jeszcze.

• - Ucz.: to wejdzie...

- Prof.: Jak już wejdzie, to nie zejdzie i to przestanie być funkcją.

• Wyprowadzimy ten wzór w sposób nielegalny.

• Nieważne, czy dowód jest poprawny, czy nie. Ważne, by był przekonujący...

• To jest książka dla mniej ambitnych studentów z politechniki... dowody bez twierzeń...

• [stojąc na końcu sali, do kolegi pod tablicą] Trochę za duże piszesz te litery, bo ja jeszcze stąd widzę!

• [do nowego kolegi] Czy tam skąd przyszedłeś uznawano nawiasy? Bo mnie uczono, że pisze się „(-...)”. Zresztą, co to jest „-”? Alfabet Morse’a?

• -Prof.: Michał! Do tablicy!

- Michał: Ale ja już byłem...

- Prof.: Ja też już byłem!

• Wykres obniżymy w dół.

• Słusznie! Zawsze lepiej więcej równań niż mniej!

• Gdyby „a” było równe „r/2”, to ten prostokąt byłby odcinkiem, a nie trójkątem.

zapisła Ewa Nizińska



## A śmiech to zdrowie

Kiedyś ludzie żyli sobie spokojnie, nie bali się obcych spojrzeń, ogrodzenia stawiali, by dzikie zwierzęta nie wdarły się do ich domostw.

Szłam ulicą miasta – miejską ulicą – i patrzyłam w te wszystkie przeszkłone witryny. Patrzyłam na nie twarzą w twarz. Wszystkie szeroko uśmiechnięte, ziały swoimi rozwartymi paszczami, szydziły ze mnie: „A, nie chcesz podejść? Rzuć no okiem, jakie mam precudne zęby...”

Zębiska przebrzydłe, wabią, mamią, udają, naśladują. Gdy patrzę w te jamy, na oścież otwarte i czekające na swój łup, który wpełźnie do środka nieświadomy swej zguby, będącej już faktem dokonany – nachodzi mnie ta bezsilność.

Bezsilność, jak celnie i starannie wymierzony prawy prosty, uderza mnie w twarz, obnaża i poniża, krzyczy z rozpaczą: „Patrz! To już się stało! Nic już nie zmienisz! Atmosfera jest zatruta,

wszystko ginie, człowiek gubi się sam w sobie.”

Tak. Dokoła naszych domostw nadal budujemy mury. Chronimy się przed dzikimi zwierzętami i dzikimi spojrzeniami. Nastawiamy się na ofensywną defensywę. Boimy się porównań, języków, które pluja jadem i ranią nas od środka. Stawiamy wokół siebie barykadę stereotypów i modlimy się, by ktoś ją przełamał za nas, dla nas, byśmy mogli uwierzyć, że ktoś ma jednak siłę.

Żyjemy w samotności, obawiając się ludzi. Żyjemy w Tłumie, – a czujemy się tam obco. Te stereotypy pozwalają nam ułatwić sobie życie. Nie musimy się męczyć rozpoznawaniem postaci. A na co narzekamy? Na samot-

ność, szarość i przeciętność.

Perfekcyjny język, którym pisane są artykuły w gazetach. Idealne zestawienia obrazów, trafiające prosto do podświadomości. Czysty styl, skrywający nasze skazy i bóle. Neologizmy-eufemizmy przypierające do muru swoją „oczywistością”.

Historia poszła naprzód nie pytając nas o zdanie. Ewolucja Tłumu biegnie w przyszłość z nieubłaganą siłą, coraz szybciej i szybciej, taranując albo wznosząc małe jednostki, starające się wybić.

Kiedy Tłum się rozpadnie, Człowiek zaistnieje.

Hahahahahahahahahahaha...



dittchen

## Krótki Nibyesej o Ciszy i Wietrze

Zaczęło się to od zwykłego słuchania ciszy. Niczego innego. Po prostu, po powrocie do domu, zamiast robić lekcje, oglądać telewizję czy słuchać radia siadałem na łóżku. Zazwyczaj, choć nie zawsze zasłaniałem przedtem żaluzje i włączałem małą narożną lampkę. I wtedy się zaczynało. Potrafiło trwać nawet po kilka godzin, ale owszem przyznaję nierządkiem trwało tylko krótką chwilę, a następnie zniknęło. Nie mówię tu o jakichś wizjach czy narkotycznych obrazach. Nie! Nie popadałem w stan Nirwany. Nadal pozostawałem w swoim cieple, wiedziałem gdzie jestem i co się w danej chwili dzieje. Pokój jednak wypełniało coś niezwykłego. Potężnego, wszechmocnego, wszechwładnego, a zarazem ulotnego niczym cisza, której przeciwieństwem było tworem.

Czy ja jestem wariatem? Być może, choć nikt tego jeszcze nie stwierdził. Wiem jednak, że te krótkie, czasami dłuższe momenty kiedy siedziałem sam ze sobą w pokoju, wpatrzony w ścianę i obcujący z ciszą dały mi więcej niż niejedna rozmowa.

Nie, w ciszy nie odnalazłem swego powołania, swego celu, sensu życia. W ścianie nie zobaczyłem jak wielu przedemną jakiś niezwykłych obrazów przyszłości, ani nawet teraźniejszości. Wokół mnie nie krążyły jakieś białe figu-

ry, nie słyszałem żadnych szeptów, nie czułem zimnych dotyków dłoni.

Nie!

Ściana zawsze była tylko białym fragmentem muru, a jedyne zimno było zimnym wiatrem wpadającym przez nie-domknięte okno.

Być może wyda się to dziwne, ale podczas tych „seansów” nie zrozumiałem także tego czym jest sama cisza.

Choć zadawałem jej pytania,

Choć próbowałem rozmawiać,

Choć starałem się jej dotknąć,

Ona nigdy nie odpowiadała...

Nie poruszyła się. Nie zdradziła miejsca swego pobytu.

Uznałem ją za swego największego przyjaciela. Który nie zdradzi, a wysłucha. Tylko nie odpowie.

Tak było do czasu wakacji.

Wtedy stało się coś, czego się nie spodziewałem, a co tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że jest ona czymś niezwykłym.

Wróciłem z wycieczki, była noc, inni spali na dworze, byłem chory więc wlałem do namiotu. Zapaliłem lampkę, zamknąłem wejście i ułożyłem się do snu.

I ona tam była. Jednak nie ona.

Ona, tylko że zupełnie inna. Z zupełnie inną historią, inną osobowością, innym sposobem bycia. I innym, choć

tym samym imieniem: cisza.

O co innego ją pytałem,

O czym innym próbowałem rozmawiać.

Kogo innego dotknąć.

I tylko ona wciąż była taka sama, choć inna...

Polubiłem ją. Kto wie, czy nie bardziej niż ciszę. Dlaczego? Bo była czymś innym. Tym samym, choć tak odmiennym. Jej nigdy nie pojąłem i pojąć pewnie nie zdołam.

I nigdy też nic nie powiedziała.

Cisza, ta pokojowa, jest zmieniona. Od czasu, gdy jej o ciszy opowiedziałem. Przekazałem. Chce się wyrwać. Czuję to. Ja, je – poznać! Swoje siostry, braci! Z nimi porozmawiać. Przestać słuchać. Zacząć mówić, krzyczeć, Wrzeszczeć. Dusi się tu. Umiera. A jednak nie odchodzi... Ja jej na siłę nie trzymam. Otwieram drzwi, okna... Leć! Uciekaj! Odnajdź ich!

A ona nie chce.

Czuje żal. Jej i mój. Żal mi przyjaciela. Jej chyba żal mojego przyjaciela.

I teraz wiem jedno: Cisza też ma swą historię, a co ważniejsze:

*Cisza to nie zawsze Cisza.*

- Żegnaj Ciszo mój przyjacielu - szepcze cicho włączając radio...

A.



## Komentarz perwszaka

Ja też długo myślałem nad zdaniem Jose Ortegi y Gasseta, na szczęście nie musiałem robić tego na ocenę... Poruszył mnie tekst Natalii o wybitnych jednostkach, przeciętnych i banalnych masach. Na początku myślałem nawet podobnie jak ona, ale później zadałem sobie pytanie: Dlaczego mamy być szarzy i banalni? Czy naprawdę jesteśmy tacy trywialni?

To wybitni i wybrani kierują światem i to oni nam narzucają jacy mamy być. Dla nich nie liczy nikt poza nimi samymi (ewentualnie ich mamona). My jesteśmy tylko po to, by lśnili na naszym tle, dlatego narzucają nam bezbarwność. Ale przecież tak nie musi być. Nie musimy znosić filozoficznych tekstów „Gassetów” którzy wmawiają innym, że są szarzy i banalni. Może to właśnie oni tacy są, bo nie potrafią dostrzec tego, że masa wcale nie jest bezbarwna i przeciętna. Ja, gdy patrzę na innych, nie widzę w nich banalności, pustych myśli, nijakości ich życia i wstydu za to. Ludzie to dla mnie niezliczona liczba indywidualności, bynajmniej nie trywialnych i pustych w środku. Każdy jest inny, każdy ma coś, czym może podzielić się z innymi. Nie ma na świecie ludzi banalnych! Każdy z nas jest innym odcieniem życia, a nie szarym matosem. Oczywiście, jeżeli będziemy zapatrzeni w wybitne osobistości, wciąż zazdroszcząc im kariery, splendoru i zaszczytów, to

będzie nam się wydawało, że żyjemy w pustej nijakiej rzeczywistości i że tacy też jesteśmy. Ale wystarczy opuścić trochę niżej głowy. Wystarczy zauważyć innych ludzi. Ja tak żyję (albo staram się tak żyć) i wcale nie uważam się za banalnego, przeciętnego osobnika. Nie zamykamy się w szarości stworzonej przez nielicznych „wybitnych” albo przez nas samych. Żeby poczuć, że nasze życie ma sens nie trzeba „upijać się do nieprzytomności tanim winem, zaduszać się podłymi papierosami i na narkotycznym głodzie nazywać kielbasę swoją matką”. Nie mogę zagwarantować przeżycia nirwany czy otarcia się o absolut, ale myślę, że na to każdy z nas ma jeszcze czas.

Nie wiem czy moje słowa trafiają do choćby małej części z was, zwłaszcza, że całość zalatuje wypracowaniem. Oto tekst napisany do piosenki zespołu Myslovitz, który odda to, co chce przekazać:

Nie poddaj się, bierz życie jakim jest  
I pomyśl, że na drugie nie masz szans

Po co ten stres, myślisz, że nie masz nic  
Każdy ma – nawet Ty  
Czasem trzeba to po prostu znaleźć  
Miłość, noc i deszcz, życie też  
Dla tego warto starać się  
Powiedz, czy naprawdę nic nie jesteś  
wart

Znajdź to w  
sobie, tak

Nie poddaj się, bierz życie jakim jest  
I pomyśl, że na drugie nie masz szans

...  
Popelniaj błędy i naprawiaj je  
Gdy dotkniesz dna odbijaj się  
Wykorzystaj czas, drugiego już nie  
będziesz miał

Nie poddaj się, bierz życie jakim jest  
I pomyśl, że na drugie nie masz szans

Odetchnij więc, zastanów się  
Znajdź jego sens, bierz życie takim,  
jakie jest

I ciągle szarp, i zmieniaj je  
Przed siebie idź, bierz życie takim, jakie  
jest

I zmieniaj je, i ciągle walcz, przed  
siebie idź

To jednostki wybitne narzucają nam przeciętność, banalność mimo, że tak nie jest. Tak naprawdę to my jesteśmy wybitni. Każdy jest inny, każdy ma coś, czym może się podzielić z innymi, każdy z nas nosi w sobie inny odcień życia. Nikt nie jest pospolity, bezbarwny, pusty – wystarczy dostrzec to w innych ludziach.

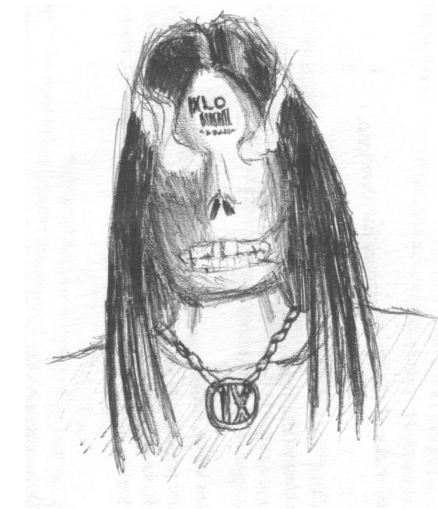
**Artur**

## Przygotowanie do Życia w Społeczeństwie Socjalistycznym

### Regulamin szkolnej stołówki

1. Wszyscy jedzą to samo.
2. Żywność jest na kartki.
3. Aby otrzymać jedzenie, trzeba stać w kolejce.
4. Wszyscy są równi, więc dostają po równo.
5. Punkty 3 i 4 nie dotyczą osób uprzywilejowanych. Tylko na ich stoliku mogą stać przyprawy.
6. Wszyscy jedzą razem, budując poczucie równości i braterskości. Każdy wie, co je sąsiad.
7. Sztuczki są aluminiowe w obawie przed dywersją (kradzieżą) przez elementy reakcji.
8. Stołówka jest dla nas sprawdzianem praktycznych życiowych umiejętności.
9. Codziennie jest jedno smaczne danie (do wyboru). Wybieramy je z menu.

10. Jedzenie jest zawsze smaczne i przyrządzone w sposób higieniczny. Jest go dużo.  
Kolejki są krótkie, posiłki wydawane szybko, a krzesła zawsze starcza dla wszystkich.



### Uwagi i uzupełnienia do regulaminu:

- pkt 6 – usunięto wyraz „solidarność” zastępując go słowem „braterstwo”.
- pkt 7 – dawniej sztuczki były „przywoite”, ale były kradzione przez agentów kontrrewolucji.
- pkt 8 – „Życiowe umiejętności” to np. „pożyczenie” sobie czyjś krzesła, zatrudnienie kolejkowego „stacza”, lub po prostu wepchnięcie się do kolejki.
- pkt 9 – z menu na każdym stoliku zrezygnowano z powodów takich, jak w pkt 7. Ponadto zaleca się nie używania w jadłospisie słowa „hamburger”, jako wysoce niewłaściwego. Banany i inne owoce tropikalne są sprowadzane ze Związku Radzieckiego.
- pkt 10 – pkt. 10 jest prawdziwy.

**Prezes**  
przedruk z:

**AM#1 (11.1999), str. 4**



## Odpowiedź

Natalko!

Twój tekst mną wstrząsnął.

Czuję ogromną autentyczność twoich słów. Wiem że to wszystko, co napisałaś, czujesz naprawdę.

Podział na ludzi wielkich i masy jest tylko jedną z wielu fałszywych szuflad jakie się powszechnie stosuje. Piszesz o sobie, iż należysz do tego całego ciemnego pospólstwa...

Prawdziwy jest jedynie podział na ludzi szczęśliwych i nieszczęśliwych. Tyłu ludzi nazywanych „wielkimi“, czy to przez siebie, czy to przez innych, całe życie było nieszczęśliwymi, nie mogąc zrealizować postawionych sobie norm, wymagań, idei...

Posłuchaj Tuwima (wiersz „Et arceo...“):

*Odi profanum vulgus. Kościół czy kawiarnia,  
Republika czy kino, wiec szewców czy armia,  
Naród, gmina, rodzina, uczelnia, czytelnia –  
Wszystko chaos i zgroza, i pustka śmiertelna.  
I w tym hucznym stuleciu tyrańskiej wspólnoty,  
Śród głupich wielkorządców i tepej hołoty,  
Gdzie patos lwi rozdyma mrówczą krzątanie,  
Gromadząc ludzkość w nudną, mieszczańską rodzinę.  
Gdzie pustego kościoła krzykliwi papierze  
Na gruzach Babilonu – babilońskie wieże  
Wznoszą pośród szwargotu wyszczekanych maszyn,  
A chciwa czerń szpieguje samotność serc naszych,  
A w tym wieku rozjątrzonem, wydetym, okrutnym –  
Przechodzę, mijam, milczę: obcy, zimny, smutny.*

*Odi profanum vulgus et arceo*, czyli „nienawidzę ciemnego pospólstwa i odpycham je“... Wielu ludzi widzi i czuje tak dziś świat, ja sam tak nieraz patrzyłem. Ale czy prawdziwość uczuć świadczy o tym, iż mają one sens? Czy gdybym zakochał się, dajmy na to, w lokomotywie spalinowej, zacząłbym pisać autentyczne, bogate i piękne wiersze na jej temat, to samo sedno uczuć – miłość do lokomotywy spalinowej – nie byłoby nadal kretyńskie i idiotyczne? Takowoż patrzę dziś na Tuwima i wielu innych twórców (Stachurę? Vonneguta?) – tak, moi drodzy, wasze światy są piękne, są one autentyczne emocjonalnie, ale nie są autentyczne w sensie obiektywnym, a niszczą radość życia – przeto je odrzucam, nie dam się wam pożreć!

Jakiś czas temu dobiegł do mnie przez otwarte okno fragment rozmowy dzieci idących ulicą: „Powiedzieć wam po co żyję? Żyję po to, żeby żyć!“ – powiedziała z pełnym przekonaniem (i tą dziecięcą autentycznością!) bliżej nieokreślona dziewczynka. I oto chodzi. Wygrała pani główną nagrodę w teleturnieju „Życie“.

Nie przeskoczmy płaczu, śmiechu, dyskotek, robienia kupy, seksu, śmierci i tego wszystkiego, co jest dla człowieka naturalne. Zatem po co próbować skakać? Gdy rozbicie się o mur rzeczywistości (ludzkiej, a nie brutalnej) jest pewne, wolę nie rzucać się samostraceńczo bez sensu, tylko zostać w domu i obejrzeć na wideo jakąś absurdalną komedię z Leslie Nielsenem popijając winem domowej roboty.

Kim są „wielcy“ ludzie? Świat rządzi się statystyką, gausowskim rozkładem prawdopodobieństwa. Najwięcej jest przede wszystkim ludzi średnich – intelektualnie, emocjonalnie, fizycznie, itd. Zaś im dalej – w obie strony! – od średniego natężenia jakiegokolwiek cechy, tym ludzi o danym natężeniu cechy jest mniej. Wielkich geniuszy oraz wielkich głupców jest zatem

najmniej – i tyle samo. Ponadto statystyka nie zajmuje się szczegółami, fenomenologią. Czy gdyby ktoś w dzieciństwie zmienił losy Einsteina lub Napoleona, świat byłby inny? Nie. Wprawdzie szczegóły rzeczywistości byłyby dziś trochę inne – ale rozkład statystyczny nie zajmuje się szczegółami, tylko tym, co i w jakim stopniu prawdopodobne jest. Dowody, na to, że procesy w ludzkości są statystycznie słabo zależne od ich nośników – jednostek? – a) Kilka tygodni po Einsteinie, niezależnie od niego, Poincaré opublikował Szczególną Teorię Względności. b) Współczesną mechanikę kwantową niezależnie sformułowali Schrödinger i Heisenberg. c) W latach trzydziestych XX w. cała Europa (prócz Francji i Czechosłowacji) była antysemicka w nastrojach i totalitarna w sposobach rządzenia. Hitler też nie był niczym specjalnym. I tak dalej...

A ci „wielcy“? – No cóż... Spytajmy się panów Gasseta, Witkacego, Vonneguta, Stachury, Wojaczka, Kaczmarek, Wysockiego i wielu wielu innych, czy byli szczęśliwi? Nie?... O jak mi przykro... To już chyba wiem po co te bajeczki o wielkości... To, że się w wyniku przypadku otrzymało pewną cechę (np. silne emocjonalne odczuwanie świata, albo wysoką inteligencję) odbiegającą od statystycznej normy, średniej, nie znaczy wcale, że się jest cacy, a inni be.

To co przedstawia większość, zawsze będzie średnie, bo to jest definicja średniej!

W czym zresztą miałyby tkwić wielkość? Skąd tu się bierze wartościowanie? Rozumiem, że dzieci w piaskownicy mogą się licytować na babki z piasku, ale żeby się dorośli ludzie robili to samo? Dlaczego wartościowanie ludzi według liczby piegów czy rozmiaru czaszki uznamy za kretyńskie, ale wartościowanie ze względu na liczbę IQ, czy też intensywność przeżywanych emocji, za równie kretyńskie nie uznamy, skoro i to i to nie jest zależne od woli ocenianego człowieka, lecz od wypadkowej wpływów zewnętrznych?

No ale jasne – od dzieciństwa tresowani przez bzdurny świat idealistycznych bajek, niektórzy z nas nie zrzucają z siebie tego bagażu i nadal wartościują używając nierealnych, nierealitywnych norm. Norm kretyńskich, bowiem nieosiągalnych, nieludzkich. Bo ludzką jest właśnie ułomność, przemieszanie patosu z prymitywnością, ale przede wszystkim z normalnością, z normą, ze średnią, bo – jeszcze raz i tak aż do znudzenia – średnie jest powszechne z definicji!

Istotnie, sądzę, że należy podejrzewać zgubny wpływ bajek. Przedstawiony jest w nich szalenie uproszczony i nieprawdziwy model świata. Ten model wpaja się (koduje) młodej i niedoświadczonej sieci neuronowej – dziecku. Czyni się to przy silnej stymulacji emocjonalnej, co powoduje mocne zakodowanie. Upraszcza model rzeczywistości często upraszcza się model (zakres) dozwolonych doznawanych uczuć („bądź zawsze dobry“, bla bla bla...). Jest to pułapka – przetwarzania, odczuwania wg określonych schematów.

Niektórym z nas trudno jest zidentyfikować się z jakąś całością, bo jest tyle różnych nawzajem sprzecznych całości, a przecież każda z nich jest wewnątrz tak spójna, taka emocjonalnie prawdziwa. Ale przecież to, że ktoś doznaje, przeżywa coś, w sposób głęboki i autentyczny, nie znaczy, że to coś jest naturalne i sensowne (tak jak miłość do pieca hutniczego).

verte →



## Odpowiedź cd.

Pies Pawłowa naprawdę autentycznie ślinił się, gdy dzwoniło dzwonkiem. Dzwonienie dzwonkiem nie jest naturalne dla psa. Podstawowe pytanie brzmi: czy mu lepiej? Ja myślę, że lepiej byłoby przestać dzwonić tym dzwonkiem i po prostu dać mu jeść.

Dzwonami kościelnymi ideałów też można by przestać dzwonić. No, ale tak mało jest w naszej kulturze wzorców ludzi którzy byli by po prostu ludźmi, zaś tak dużo jest tych wszystkich Wielkich Oszołomów, co to Kochali Matkę, Ojczyznę, Kochankę, albo też Wierzyli, albo znowuż Wątpili, ewentualnie Zbawiali Świat i tak dalej...

Przez te dwanaście lat obowiązkowej edukacji (nieraz wspomaganą odpowiednim „wychowaniem“ w domu) ludzie zmuszeni są zasymilować z kultury tyle bredni, tyle chorych, kretyńskich i wypaczonych postaw, tak rzadko się spotyka normalnych ludzi w literaturze, że rzeczywiście, nie należy się dziwić, iż następuje w naszych głowach przesunięcie lub też zaburzenie poczucia tego co jest normalne, typowe. No i jest też efekt pierwszego wrażenia: jeśli wystaję poza średnią w emocjonalności, bądź też w intelekcie, to bywa tak, że musi minąć sporo czasu, abym trafił na coś (kogoś), co (kto) odpowiada wysokości napięcia mojej cechy. Wtedy też piję z tej studni tym dłużej, im dłużej byłem na pustyni. A jeżeli trafiam wreszcie na głębokie uczucia, lecz są one przesycone czernią, beznadziejnością, albo też np. idealizmem? Wchodzę. Cóż... to, iż się wstąpiło w bagno, zauważa się *post factum*. Czasami *post mortem*.

Różnorodność jest podstawową metodą uchronienia się przed kraksą: czy to różnorodność genetyczna w obrębie gatunku, czy to wewnętrzna różnorodność człowieka, czy to różnorodność upraw na tym samym polu, czy też – wreszcie! – różnorodność doznań i wrażeń w życiu. Ascetyzm, idealizm, różne postawy typu „wszystko albo nic“ są szalenie destruktywne poprzez swoją zerojedynkowość: gratyfikacja albo death. Brak istnienia poziomów pośrednich jest czynnikiem, który może rzucać jednostki wciąż z nieba do piekła i z powrotem, przy czym z obserwacji wynika, że jednostki takie zazwyczaj siedzą w piekle. A przecież nie jesteśmy ani z piekła, ani z nieba, tylko z ziemi – i tu nasze miejsce: w fizycznej, psychicznej i bio- różnorodności.

Do cholery! Nie trzeba dusić, niszczyć siebie (podłymi papierosami, tanim winem i na narkotycznym głodzie), by myśleć, czuć, oddychać, żyć! To są Wielkie Ściemy serwowane nam przez kulturę, za którymi jest nam tak łatwo podążyć, bowiem nie dane jest nam oglądać alternatyw. Na palcach dwóch rąk zmieszczą moich znajomych, wewnętrznie bogatych, którzy umieją żyć po ludzku, normalnie, nie drażąc krecich korytarzy w mrocznym bagnie nierealnych światów. Dlaczego tak mało? Bo reszta (w tym i ja, nie ma co kryć) poszła tropem na który najłatwiej (najprawdopodobniej) było trafić, a trop ten wiedzie na manowce. Cudne manowce?... Nie. Przepaść. Otchłań. Zamiast wlotu, nirwany – upadek. Myślisz, że ci wszyscy wielcy twórcy wlecieli? Ani trochę. Oni upadali, coraz niżej i niżej. A że uważali co innego? Cóż... gdy się szybko leci, to często nie wie się, czy w górę, czy w dół. Spytaj pilotów. Zwłaszcza tych, co pikowali. Zresztą, gdy jest się lemingiem, widzi się tylko lemingi przed sobą i czuje się oddech tych za sobą. No i co w tej sytuacji robić? – Nie bieć?

Karen Horney pisze: „Gdy człowiek sięga po doskonałość

w kategoriach niedościgniętego absolutu

– rozpoczyna dzieło samozniszczenia.

Kiedy zawiera pakt z diabłem, obiecującym mu wielkość i chwałę, musi się godzić na piekło – piekło we własnym wnętrzu.“

A prawdziwe życie jest po prostu. Bogato, lecz przede wszystkim spokojnie. Nie inaczej. Dlatego też nie widzę problemu w tym, by jednocześnie gadać o ciuchach, słuchać disco polo, Chopina, jazzu, death metalu, chodzić w dresie, chodzić w glanach, zajmować się mechaniką kwantową, pić alkohol, oglądać „Idola“ w TV, oglądać artystyczne filmy w kinie „Muranów“, czytać „Nie“, śmiać się wraz z „Beavisem i Buttheadem“ z tego, że któryś z nich pierdnął, śpiewać piosenki „Wolnej Grupy Bukowiny“, pogawiać na koncercie punkowym, tańczyć przy disco na jakiejś wiejskiej imprezie, rozmawiać o poezji Wysockiego, Achmatowej i Okudźawy, ustępować miejsca w autobusie, nie ustępować miejsca w autobusie, jeść chińskie żarło i sypiać co miesiąc z kimś innym, nie jeść chińskiego żarła i nie sypiać co miesiąc z kimś innym, w skrócie: robić cokolwiek, byleby tylko być szczęśliwym.

A tych wielkich ludzi olej. Niech się sami męczą.

Lynx

PS.

### 1. Szymborska. „Pod jedną gwiazdką“ (fragment):

*Niech mi zapomną umarli, że ledwie tlą się w pamięci.*

*Przepraszam czas za mnogość przeoczonego świata*

*na sekundę.*

*Przepraszam dawną miłość, że nową uważam za pierwszą.*

*Wybaczcie mi, dalekie wojny, że noszę kwiaty do domu.*

*Wybaczcie, otwarte rany, że kłują się w palec.*

*Przepraszam wołających z otchłani za płytę z menuetem.*

*Przepraszam ludzi na dworcach za sen o piątej rano.*

*Daruj, szczuta nadziejo, że śmieję się czasem.*

*Darujcie mi, pustynie, że z łyżką wody nie biegnę.*

*(...)*

*Przepraszam ścięte drzewo za cztery nogi stołowe.*

*Przepraszam wielkie pytania za małe odpowiedzi.*

*Prawdo, nie zwracaj na mnie zbyt bacznej uwagi.*

*Powago, okaż mi wspaniałomyślność.*

*Ścierp, tajemnico bytu, że wyskubuję nitki z twego trenu.*

*Nie oskarżaj mnie, duszo, że rzadko cię miewam.*

*Przepraszam wszystko, że nie mogę być wszędzie.*

*Przepraszam wszystkich, że nie umiem być każdym i każdą.*

### 2. Szymborska. „Możliwości“:

*Wolę kino.*

*Wolę koty.*

*Wolę dęby nad Wartą.*

*Wolę Dickensa od Dostojewskiego.*

*Wolę siebie lubiącą ludzi niż siebie kochającą ludzkość.*

*Wolę mieć w pogotowiu igłę z nitką.*

*Wolę kolor zielony.*

*Wolę nie twierdzić, że rozum jest wszystkiemu winien.*

*Wolę wyjątki.*

*Wolę wychodzić wcześniej.*

verte →



## Odpowiedź cd.

Wolę rozmawiać z lekarzami o czymś innym.

Wolę stare ilustracje w prążki.

Wolę śmieszność pisania wierszy od śmieszności

ich niepisania.

Wolę w miłości rocznice nieokrągłe, do obchodzenia co dzień.

Wolę moralistów, którzy nie obiecują mi nic.

Wolę dobroć przebiegłą od łatwowiej za bardzo.

Wolę ziemię w cywilu.

Wolę kraje podbite niż podbijające.

Wolę mieć zastrzeżenia.

Wolę piekło chaosu od piekła porządku.

Wolę bajki Grimma od pierwszych stron gazet.

Wolę liście bez kwiatów niż kwiaty bez liści.

Wolę psy z ogonem nie przyciętym.

Wolę oczy jasne, ponieważ mam ciemne.

Wolę szuflady.

Wolę wiele rzeczy, których tu nie wymieniałam, od wielu

również tu nie wymienionych.

Wolę zera luzem niż ustawione w kolejce do cyfry.

Wolę czas owadzi od gwiazdnego.

Wolę odpukać.

Wolę nie pytać, jak długo jeszcze i kiedy.

Wolę brać pod uwagę nawet tę możliwość, że byt

ma swoją rację.

### 3. Lem „Śledztwo“ (fragment):

„A jeżeli świat nie jest rozsypaną przed nami łamigłówką, tylko zupa, w której pływają bez ładu i składu kawałki, od czasu do czasu zlepiające się przez przypadek w jakąś całość? Jeżeli wszystko, co istnieje, jest fragmentaryczne, nie donoszone, poronne, zdarzenia mają koniec bez początku albo tylko środek, sam przód albo tył, a my wciąż segregujemy, wyławiamy i rekonstruujemy, aż zaczynamy widzieć całe miłości, całe zdrady i klęski, chociaż naprawdę jesteśmy cząstkowi, byle jacy. Nasze twarze, nasze losy urabia statystyka, jesteśmy wypadkową ruchów brownowskich, ludzie to nie

dokończone szkice, przypadkowo zarysowane projekty. Perfekcja, pełnia, doskonałość – to rzadki wyjątek, zdarzający się tylko dlatego, że wszystkiego jest tak niesłychanie, niewyobraźalnie wiele! Olbrzymiość świata, nieprzeliczalna jego mnogość jest automatycznym regulatorem codziennej zwyczajności, dzięki niej uzupełniają się pozorne luki i wyrwy, myśl dla własnego zbawienia odnajduje i scala odległe fragmenty. Religia, filozofia są klejem, wciąż składamy i zbieramy rozpelzające się w statystykę ochłapy, żeby je złożyć w sens, jak w dzwon naszej chwały, żeby odezwały się jednym, jedynym głosem! Tymczasem jest tylko zupa... Matematyczny ład świata to nasza modlitwa do piramidy chaosu. Na wszystkie strony wystają kawałki życia poza znaczenia, które ustaliliśmy jako jedyne, a my nie chcemy, nie chcemy tego widzieć! Tymczasem istnieje tylko statystyka. Człowiek rozumny to człowiek statystyczny. Czy dziecko będzie piękne czy brzydkie? Czy muzyka da mu rozkosz? Czy dostanie raka? O tym wszystkim decyduje gra w kości. Statystyka stoi u naszego poczucia, ona wylosowuje zlepki genów, z których tworzą się nasze ciała, ona wylosowuje naszą śmierć. O spotkaniu kobiety, którą pokocham, o mojej długowieczności, o wszystkim decyduje normalny rozkład statystyczny, więc może także o tym, czy będę nieśmiertelny? Może ona stać się czymś udziałem na ślepo, przez przypadek, od czasu do czasu, tak samo jak uroda lub kalectwo? A skoro nie istnieją jednoznaczne przebiegi, skoro rozpacz, piękno, radość i brzydota są dziełem statystyki, statystyką jest podszyte nasze poznanie, istnieje tylko ślepa gra, wiekuiste układanie się przypadkowych wzorów. Nieskończona liczba Rzeczy szydzi z naszego umiłowania Ładu. Szukajcie – a znajdziecie; zawsze w końcu znajdziecie, jeżeli będziecie tylko dość żarliwie szukali, statystyka bowiem niczego nie wyklucza, czyni wszystko możliwym, jedynie mniej lub więcej prawdopodobnym. Historia zaś jest ziszczaniem się brownowskich ruchów, statystycznym tańcem cząstek, które nie przestają marzyć o innym doczesnym świecie...“

## Poziomkowa Piosnka czyli Reminescencje Pozwardoniowe

Sądę, że tytuł mówi wszystko. To właśnie w Zwardoniu w czasie ostatnich ferii powstał pewien muzyczny hit. Jego twórcy byli przez pewne kręgi systematycznie tępieni. Być może ze względu na niezrozumienie jego treści?... Stąd też pomysł na ułatwienie przyswojenia Im głębi przesłania. I oto:

**poziomka** 1.*Fragaria*, roślina z rodziny różowatych, występująca w Eurazji i w Ameryce (w Polsce w trzech gatunkach), o kwiatach białych, liściach trójlistkowych, z owłosionymi ogonkami i jadalnych, pachnących różowoczerwonych owocach; rośnie dziko przeważnie w lasach, także uprawiana w ogrodach 2.owoc tej rośliny

**defloracja** (z łac.) rozerwanie błony dziewiczej w czasie pierwszego sto-

sunku płciowego lub w wyniku zabiegu leczniczego w celu zdrowotnym; pozbawienie dziewictwa

**pentagramik** mały pięciokąt, na którego bokach są zbudowane trójkąty równoramienne; od:

**pentagram** (z gr.) pięciokąt gwiaździsty

**arcus tangens hiperboliczny**

lub: area-tangens hiperboliczny (artgh x) tzn. z def.:

$$x = \operatorname{tgh}(y) \quad (-1 < x < +1; \quad -\infty < y < \infty)$$

$$\Leftrightarrow \operatorname{artgh}(x) = \frac{1}{2} \ln \frac{1+x}{1-x}$$

**kastracja** usunięcie gruczołów płciowych (jąder a. jajników) u ludzi i zwierząt; trzebieenie (łac.)

**szatan** (z hebr.) w niektórych wierze-

niach religijnych: postać będąca uosobieniem zła, uważana za jego sprawcę, zły duch kuszący do grzechu; diabeł, czart

**zimno** niska temperatura powietrza; pogoda charakteryzująca się niską temperaturą; chłód, ziąb

UWAGA!!!

Anyten Mlek zupełnie bezpłatnie udostępnia **sposób na otrzymanie wyższej od przeciętnej oceny z biologii** u p. prof. Beaty Wanago-Wojtczak. Wystarczy przy dowolnej okazji wypowiedzieć magiczne zdanie: „*Pani Profesor, czy wie Pani, kim jestem? Czy uważa Pani, że jestem małą poziomką?*”. Efekt gwarantowany. Powodzenia.

OKli

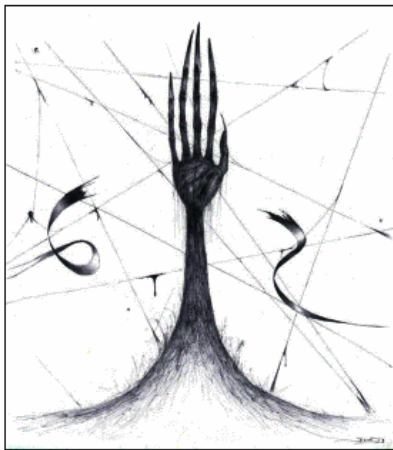
# Prawdziwa historia redakcji Anytena Mleka i jego samego

**czyli bajania byłego naczelnego z września roku pańskiego 2000**

Wszystko zaczęło się daawno temu, gdzieś jesienią 1998 roku\*. Wtedy to wpadł mi w łapy "Staszic Kurier" (był

## №1 Anyten Mlek

Listopad 1999 Gazetka dla każdego Hoffmiana (i nie tylko) czerwiec 1999



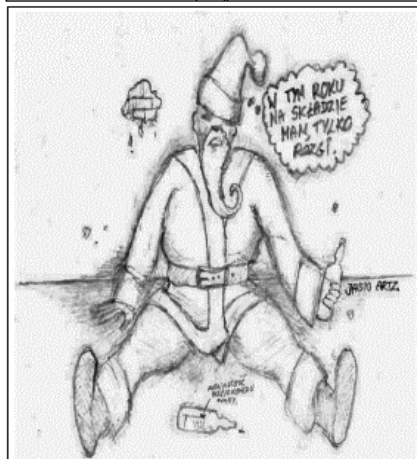
to zresztą pierwszy numer wydany przez ekipę do której należy znany przez niektórych Przemek Witrowy). SK spodobał mi się do takiego stopnia, iż zacząłem rozmyślać, czy by tu przypadkiem czegoś równie fajnego na naszym Hoffmianiackim poletku nie zasiać. Mniej więcej w tym samym czasie na tymże poletku wykiełkowała gazetka pod nazwą "Hoffmianiak", redagowana głównie przez ludzi z aktualnej klasy 4E. Gazetka była zorientowana raczej humanistycznie, ivogóle. Ogólnie rzecz biorąc – zostały wydane trzy numery i na tym się skończyło. W pewnym momencie chciałem nawet zaangażować się w nią, ale jakoś nie wyszło. Tak, czy siak, "ferment" trwał i doprowadził do tego, iż na początku mojej czwartej klasy, po tym, jak oddałem w ręce Roberta stronę WWW Hoffmiano-wej, stwierdziłem, iż jednak stworzę (eksperymentalnie) gazetkę.

I wtedy się zaczęło... Jako wybrańców – czyli pierwszy skład – dobrałem trzech pomyłonych przedstawicieli płci niepięknej: Skavena, Fru., i Juriego. No i zaczęliśmy tworzyć. Na chwilę oddam głos Skavenowi, który zainspirowany "klymatem" napisał tak: *Dawno, dawno temu w galaktyce tuż za rogiem i dwie przecznice dalej, w szkole nazwanej imieniem znanej pisarki, powstał dziwny twór. Stworzyło go czterech ludzi, jeden ryś, jeden wampir – po – godzinach i*

*jeden mały (nie)groźny szczur. Twór ten to ideał szalonej krowy – mutanta. ANYTEN MLEK!!!!!! Młody Anyten urodził się w badziewniku roku pańskiego 1999. Zaraz po urodzeniu robił nadzieję na młodego i zdrowego byczka. Niestety! W miesiąc po urodzinach wpadł pod Fiata Brava. Dzięki nowoczesnej technice udało się twórcom przenieść go na kartkę papieru, gdzie został skopiowany. Z tych właśnie kartek powstała Gazetka. Wszystko w niej nawiązuje do naszego przyjaciela. Tytuł, forma. Nawet pisać będziemy o jego zainteresowaniach. PAMIĘTAJ CZYTELNIKU! Jest to pismo żałobne i nie śmieszne. Z poszanowaniem dla zmarłego — Demiurg Skaven. No właśnie. Jednym z podstawowych założeń co do charakteru gazetki była specyficznie rozumiana **alternatywność**, którą oczywiście musiał oddawać tytuł. A z tytułem zabawa była przednia, gazetka miała bowiem szansę nazywać się np. AWONAMFFOH. Na najlepszy pomysł wpadł Fru., któremu to właśnie zawdzięczamy "Anytena Mleka" (jakby ktoś jeszcze nie wiedział, dlaczego właśnie ten tytuł, to niech go potraktuje jako anagram). Tytuł jednak nie był wszystkim, w sumie przecież gazetka oprócz tytułu powinna zawierać teksty, teksty!\*\* W tzw. międzyczasa-*

## №2 Anyten Mlek

Czerwiec 1999 Gazetka dla każdego Hoffmiana (i nie tylko) czerwiec 1999



nie do redakcji doszła jeszcze Qczyzna, wówczas jako sekretarka-praktykantka, co już kompletnie zniszczyło jakikolwiek porządek w redakcji, co zresztą było dobrze widać przez następne cztery numery: totalny chaos\*\*\*. No, ale na

## №3 Anyten Mlek

Styczeń 2000 Gazetka dla każdego Hoffmiana (i nie tylko) czerwiec 1999



razie jesteśmy we wczesnym listopadzie...

I tak, 23. listopada 1999, Anyten, po wielu perypetiach ze składem\*\*\*\* i statusem finansowo-ideologicznym, nareszcie został wydany! W ciągu trzech przerw rozszedł się cały nakład, aż trzeba było robić dodruk. Ogólnie rzecz biorąc, 70-80% opinii, jakie do mnie dotarły, były pozytywne; sprzedanych zostało 150 egz., ale według moich szacunków Anyten został przeczytany przez ok. 400 osób, czyli 2/3 szkoły.

Po pierwszym numerze opuścił nas niestety Fru., a Skaven zaczął znikać z powodu chorób. No i znów było zabawnie – wszyscy pozostali przy życiu członkowie redakcji (zwłaszcza taki na R) próbowali coś uczynić, aby wydać AM#2. Z pomocą przyszedł Sawik, który nie dość, że dostarczył nam fajne fotografie, to praktycznie dzięki niemu AM#2 w ogóle wyszedł. Złożyliśmy go bowiem z jego pomocą i w jego domu. Takiego człowieka aż żal było zostawiać – zaoferowaliśmy mu przystąpienie do redakcji, na co on przystał (i chwała mu za to!). W ten sposób dnia pańskiego 23. grudnia 1999 wydaliśmy Anytena #2.

Po wydaniu drugiego numeru zrobiło się dość chryjowato, bowiem, w wyniku kilku moich decyzji i kilku (nie tylko moich) tekstów w AM#2, nastąpił zgrzyt z Dyrekcją... Oops.\*\*\*\*\* No, ale tu się okazało, że Dyrekcja Naszego Liceum nie jest taka straszna, jak ją malują – sprawy zostały omówione, wyjaśnione i zamknięte<sup>6</sup>.



# Prawdziwa historia redakcji Anytena Mleka i jego samego

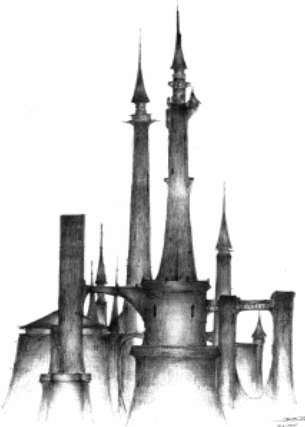
Tak stał się styczeń i tu nagle – ciach! bach! o kurczaczki! przecież mam za pięć miesięcy maturę! Aaaa! I tak Skaven, w wyniku głosowania, przy braku innych kandydatów, został naczelnym. Niestety zaangażowanie Skavena w Anytena (no popatrzcie, jaki piękny rym!) malało wraz z upływem czasu, co można było zaobserwować w AM#3 i #4 chociażby poprzez dużą ilość wstawek typu "tu miał być tekst, ale Skaven go zgubił". W pewnym momencie redakcja się wkurzyła i Qczyna powiedziała "Sawik, jesteś naczelnym". Cóż... gdy kobieta każe... I byłoby wszystkim pod nadzorem Sawika fajnie, gdyby nie to, że istnieje zjawisko wywiadówek... W wyniku tego Sawik, masując dzielnie swoją obolałą pupcię, usłyszał od Tych, Którzy Mają Rację, "Anyten Mlek – nie!". I tak stał się pierwszym wirtualnym nieformalno-utajonym członkiem redakcji.

Chyba jakieś fatum zaciążyło nad redakcją! Nagle się okazało, że w redakcji są cztery osoby, ale jedna nie może, dwie nie umieją, a jedna lepiej, żeby tego nie robiła... (chodzi o skład, oczywiście ;-). Znowu zostaliśmy przyparci do muru. W międzyczasie (jeszcze za Sawika) udało się nam jednak wydać AM#4 (bo AM#3 był za Skavena), oraz AM#4½ (czyli lekko zmodyfikowany numer #4 przeznaczony na eksport w czasie dnia otwartych drzwi i innych okien)<sup>7</sup>.

Wtedy na horyzoncie pojawiły się dwie *efia*, tzn. osoby o dość dużych możliwościach – Góral & Grochu (wówczas pierwszaki). Złożyliśmy (dlaczego, qrde, znowu ja to robiłem?) im propozycję, a oni wspaniałomyślnie

## #3 Anyten Mlek

Czerwiec 2000 Góralka alle kasztanego Hoffmanniobas (i nie ty Skaven) OSPO 128



ją przyjęli. Została tylko problematyczna kwestia naczelnego... Z braku laku Skaven znowu miał swoje pięć minut, nie dotrwał jednak nawet do AM#5: władzę przejęła eks-sekretarka, eks-xerogirl, eks-uczająca-się-składu, eks-człowiek (przepraszam, zagalopowałem się...) ... Qczyna. I od tego czasu do dnia dzisiejszego to właśnie ona miłościwie pełni tę najwdzięczniejszą funkcję w redakcji.

Tak właśnie nasz periodyk (a właściwie to prawie miesięcznik!) szczęśliwie i spokojnie dotrwał do końca roku szkolnego. Oczywiście, nie tylko zawierucha wojenna ze składem redakcji była negatywnym zjawiskiem towarzyszącym powstawaniu Anytena (aczkolwiek właśnie dzięki niej nie wyrobialiśmy się na czas z numerami). Jednym z innych było na przykład to, że przez cały rok składaliśmy go na Wordzie (tak!), a znaczyło to **koszmary po nocach i dożyłne przyjmowanie kofeiny**. Brrrr...

W wakacje, na Obozie G/T #3, doszło do Ostatecznego Rozwiązania Kwestii Redakcji: Rysieć złożył kolejną, ale ostateczną rezygnację (pozostając już tylko wirtualnie wiecznym naczelnym), a rozochociona tym Qczyna wraz ze swoim nowym mężem Konradem<sup>8</sup>, bynajmniej nie Wallenrodem, zdymisjonowała Juriego i Skavena... Ostateczny kołek osikowy należał jednak do Konrada – wbił go on w serce swego wyjęzyczonego brata Górala. I tak w redakcji pozostały dwie osoby... A tak bardziej na poważnie, to doszliśmy wszyscy do wniosku, iż pod pojęciem redakcji rozumiemy ludzi, bez których gazетка istnieć nie może, a nie

takich, którzy się objijają i rzadko coś robią, w związku z czym Jurij i Skaven przekwaterowani zostali do Oddziałów Stałe Współpracujących z redakcją, a Góral do Jednoosobowych Oddziałów Kandydatów Na Członków Redakcji. Ja oczywiście zostałem przesunięty do Oddziałów Czatuujących Na Nagrodę Nobla Na Wydziale Fizyki, gdzie zaginąłem, ale jeszcze chwilę przed zaginięciem napisałem ten artykuł, który wysłałem w butelce po Bobofrucie. Bulbul!

\* - tak naprawdę to zaczęło się znacznie wcześniej, ale o tym traktuje już inny artykuł  
\*\* - wtedy właśnie powstała powiedzonka "Wklep mi ten tekst na jutro", oraz "Napisz mi ten artykuł na wczoraj".

\*\*\* - ale przecież Skaven proroczo napisał we wstępie otwierającym Anytena Mleka #1: *Nikt z redaktorów nie wiedział, co się w periodyku dzieje a czytelnicy tylko modlili się o następny numer.* (!)

\*\*\*\* - korzystając z okazji, **składam hold Skavenowi** za rzeczywiste poświęcenie przy robieniu pierwszego numeru

\*\*\*\*\* - tak naprawdę nie tylko z dyrekcją, ale częścią uczniów też, jakkolwiek ten pierwszy zgrzyt mógł być znacznie bardziej brzemienny w oplakane skutki.

<sup>6</sup> - tu chciałbym podziękować Dyrekcji za to, że nie skorzystała z prawa "odgórných decyzji" i nie zamknęła, często niesfornej, a na pewno niezależnej, gazetki, chociaż mogłaby to bez problemu uczynić. Dziękuję! Wiem, że w wielu innych szkołach dyrekcja od razu wprowadziłaby zakaz wydawania gazetki.

<sup>7</sup> - podczas którego trafiła się nam dziewczyna, która kupiła 5 egzemplarzy Anytena! Łal!

<sup>8</sup> - tak Grochu ma na imię...

Rysieć

## #4 Anyten Mlek

Czerwiec 2000 Góralka alle kasztanego Hoffmanniobas (i nie ty Skaven) OSPO 128



## #4 Anyten Mlek

Czerwiec 2000 Góralka alle kasztanego Hoffmanniobas (i nie ty Skaven) OSPO 128



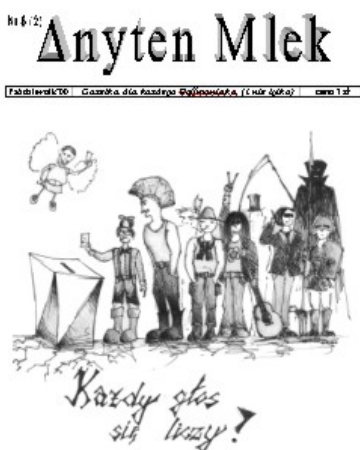
# Prawdziwej historii (po?)ciąg dalszy...

a teraz cosik bardziej współczesne bajania aktualnego naczelnego ze stycznia 2003 r.



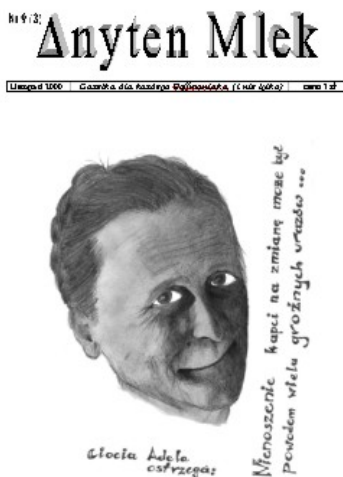
Odkryłem ostatnio, że nawet aktualni trzecioklasiści nie wiedzą skąd wziął się Anyten, ani ile już istnieje. Nie są może to najważniejsze informacje świata, ale mnie, jako powoli odchodzącemu ostatniemu elementowi Starej Gwardii zależy trochę na zachowaniu pamięci o burzliwych początków oraz późniejszych wlotów i upadków Anytena. Poza tym, każdy kto będzie chciał czegoś się z tej historii dowiedzieć... Czego – nie wiem... Co było dla mnie w niej ważne – może kiedyś napiszę...

Ale do rzeczy. Krótkie wyjaśnienie skąd ja się w tej redakcji wziąłem. Przypadkiem. Otóż na Dniach Otwartych w Hoffmanowej w marcu 2000 roku redakcji potrzebni byli ludzie, którzy jako pierwszoklasiści mogliby rozprowadzać gazetkę wśród kandydatów (#4½). Ponieważ wcześniej jakoś poznaliśmy się (ja i Góral) z Sawikiem,



ta robota przypadła nam... (Sawik zajmował się rozprowadzaniem). Potem Rysiek rzeczywiście coś tam powiedział o pracy w redakcji... A potem okazało się, że skoro lubię się z komputerem to mogę składać... I tak zostało. (Z początku Góral miał być drugim składającym, ale jakoś tak... wypadł po drodze – zajął się swoimi sprawami). Złożyłem przeto dziewięć numerów Anytena (5 – 14 bez 7). I jestem z tego dumny. Dlatego o tym piszę ;).

Numeru siódmego (z którego pochodzi „Historia...” Ryśka) nie składałem z przyczyn „osobistych”... W domu miałem remont (co Rysiek ładnie opisał w numerze jako: „Jako, że Konradowi w domu zrywali podłogę, ten numer niestety składałem ja.”) i byłem odgrodzony od komputera... Chlip. A #7 był bardzo ważnym numerem. Po pierwsze: pierwszy w nowym roku szkolnym, po drugie pobił wszelkie rekordy objętości.



Składał się z 32 stron: 24 „zwykłego” Anytena i 8 Anytena Pierwszaka – czyli małego informatora dla pierwszoklasiistów. Od tego numeru przyjęliśmy już jako faktyczną zasadę, że nie publikujemy „tekstów z internetu” oraz podnieśliśmy „minimum stron” z 16 do 20. Padł też rekord ilości kopii – 200.

Nastał Złoty Okres Anytena, gdy wydawaliśmy go co miesiąc z minimum 20 stronami w 175 kopiach... Piękne czasy. Trwały do #11 – styczeń 2000.

Anyten odniósł też wtedy sukces na arenie ogólnowarszawskiej! W lutym 2001 w "Konkursie Gazetek Uczniowskich wydawanych na terenie Gminy Warszawa-Centrum" Anyten Mlek zajął drugie miejsce. Ponadto otrzymał wyróżnienie za „za promocję pozalekcyjnej aktywności naukowej”. A z „osób prywatnych” nagrodzeni zostali p. prof.



Natorf „za patronat nad redakcją” oraz Rysiek za „pracę na rzecz gazetki i uczniów szkoły również po zakończeniu w niej edukacji”. Były nagrody i były gratulacje. Było fajnie na rozdaniu nagród. **Było dobrze.**

Dyplomy potwierdzające autentyczność opisywanych przeze mnie zdarzeń znajdują się w archiwum szkoły.

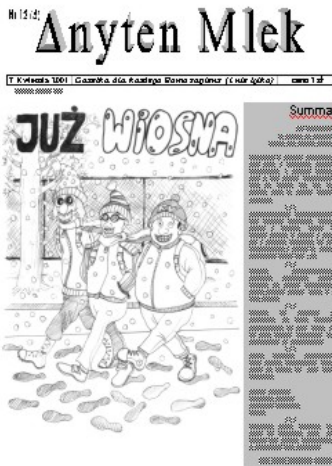
Oczywiście wiedzieliśmy, że zajęliśmy tak wysokie miejsca po części dzięki dziwnemu regulaminowi punktacji... Otóż dodatkowe punkty dostawało się tam za każdego ujawnionego autora... A znacie chyba umowę pomiędzy redakcją a dyrekcją zobowiązującą nas do ujawniania wszystkich autorów... Nie chcę tym wyznaniem bynajmniej zmniejszyć zasług redakcji. Staram się po prostu napisać w miarę obiektywną historię... A poza tym, tak czy siak, kilkuosobowe jury złożone z przeróżnych ludzi musiało, oprócz punktów regulaminowych, wysoko nas ocenić. Jak na tak młodą gazetkę (dopiero co obchodziła rok) to był naprawdę sukces.



# Prawdziwej historii (po?)ciąg dalszy...

Nas najbardziej ucieszyła możliwość porównania naszej pracy z osiągnięciami innych redakcji. Z pobieżnego wglądu w inne gazetki wyciągnęliśmy już czysto subiektywny, trochę podparty egocentryzmem wniosek, że jesteśmy naprawdę dobrzy. Podobało się nam, że chyba u nas właśnie było najwięcej tekstów nie koniecznie dotyczących bezpośrednio szkoły. Czyli tekstów powstających z czystej fantazji autorów. Z nich samych. To dużo.

Trzeba by jeszcze wyjaśnić tę „promocję poza lekcyjnej aktywności naukowej”. Po prostu jako jeden z „tekstów w odcinkach” publikowana była historia (autorstwa Górala i mojego) dziwnych doświadczeń przeprowadzonych w klasie pierwszej przez Górala, Kamila Mateję i mnie. Otóż na własne życzenie siedzieliśmy w szkole do ja-



kieś siedemnastej w Hadesie i prowadziliśmy badanie zależności napięciowo prądowej oraz zależności napięcia od oświetlenia baterii słonecznej. Naszym celem było skonstruowanie światłomierza. Ujrzał on nawet światło dzienne, ale z powodu bardzo małego zakresu napięć, w którym udało nam się określić zależność, nie udało się go skalibrować... Ale było fajnie przesuwac baterię słoneczną co 5 centymetrów przez 5 metrów zbliżając ją do wielkiej 500 watomowej żarówki! Ech, piękne czasy... Poza tym promowaliśmy działalność pozalekcyjną publikacjami na temat nowo założonego przez Górala Szkolnego Koła Astronomicznego Antares. Inne koła rzadko bywały zainteresowane współpracą z redakcją. Ich sprawa.

Co do sukcesów to ważne był jeszcze listopad 2000 roku. Wtedy to premier Buzek zorganizował jednodniowe wyjazdy dla członków redakcji warszaw-



skich gazetek szkolnych do Grecji. Od nas pojechała Qczyna. Wyjazd dotyczył roli dziennikarzy przy integracji europejskiej i wstępowaniu Polski do Unii. Pamiętam do dziś minę całej klasy kiedy zostałem wywołany z lekcji polskiego osobiście przez panią dyrektor... (z początku mieliśmy jechać oboje, ale ilość miejsc w samolocie jest ograniczona i brali po jednej osobie...). co do miny – też musiałem mieć nie ciekawą (taką jaką się ma kiedy robi się bardzo szybko mały rachunek sumienia...).

Dobra, tyle chwaleń się... Teraz bardziej konkretnie o samej redakcji. Od numeru ósmego do oficjalnego składu redakcji powrócił Sawik jako „marketing men”. On zawsze zajmował się rozliczaniem gazetki, zakupem papieru itp., czasem tylko się „ukrywał”, z powodów o których pisał Rysiek... Za to ciągłe rozliczanie to Sawikowi należy się chyba pomnik (to najgorsza, jak dla mnie, robota w redakcji – tylko liczenie forsy i ile komu dać i jeszcze kupić

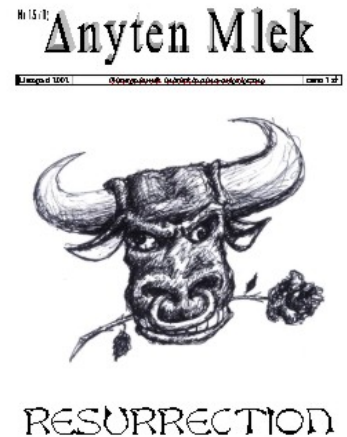


Numer sponsorowany przez literkę  $\xi$  oraz cyferkę  $\sqrt{2}$

papier i jeszcze żeby się zgadzało i jeszcze żeby nie było „na minusie”... Dla mnie straszne).

Pisałem, że Złoty okres trwał do numeru jedenastego. To małe zaokrąglenie, gdyż co prawda #11 miał 20 stron, ale tylko 10 naszych – był wydany do spółki ze Staszic Kurierem. Polegało to na tym, że Anyten i Kurier sprzedawane były w dwóch szkołach naraz jako jeden numer – z jednej strony SK, a z drugiej AM. To był jedyny numer niekserowany przez prof. Natorfa...

W #11 doszedł też do redakcji Paweł Lubowiecki (autor największej w historii Anytena „powieści w odcinkach” – Youkiego Poukiego) jako człowiek od ścigania autorów (zaczynało ich brakować), a docelowo miał przejąć naczelstwo po Qczynie. I przejął praktycznie zaraz po wydaniu #11. Od razu wziął

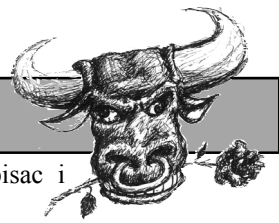


się do roboty – chciał reformować, załatwić stałego fotografa, rysownika itp. Ale nie wyszło... autorzy byli to głównie „starzy”, którzy powoli się „maturzyli” i przestawali pisać. Dopiero po trzech miesiącach udało się wydać #12. A numer 13, połączony z 14 dopiero po 11 miesiącach (zdążyłem już przejąć naczelstwo po Pawle), w marcu 2002. Przy czym numer 14 był cały napisany przez Ryśka i mnie... A 20 stron #13 zbieraliśmy rok... W tej sytuacji zdecydowaliśmy z Ryśkiem o zakończeniu działalności Anytena...

Na obozie KGB (krajoznawczo-geologiczno-biologicznym) parę osób męczyło mnie, żeby Anyten jednak istniał... I stało się.

W bólach, ale póki co wciąż istnieje. Choć daleko mu do miesięcznika, to miłe, że jest.

Konrad „Groch” Grochowski



## Wstępniak

Przykro mi, że trzeba zaczynać w taki sposób ale muszę rozpocząć od przeprosin. Dowiedziałem się, że poprzedni numer wywołał małe zamieszanie i uraził kilka osób. Ponieważ byłem w momencie wydawania AMH15 na wycieczce klasowej, nie mogłem bezpośrednio uczestniczyć w wyjaśnianiu sprawy. Dlatego teraz chciałbym oficjalnie, jako odpowiedzialny za Anytena, i w imieniu całej redakcji, przeprosić wszystkie zainteresowane osoby. Anyten Mlek zawsze był trochę "inny" i lekko zbuntowany, ale nigdy nie chciał kogokolwiek urazić lub podać nieprawdę.

Niestety ten akapit też będzie poświęcony przeprosinom. Jak już pisałem, gdy odbywało się całe zamieszanie z AMH15, byłem na wycieczce i nie mogłem spełnić obowiązku naczelnego: przyjąć odpowiedzialności i stawić czoła

krytyce. Przepraszam więc resztę redakcji, na którą spadł ten przykry obowiązek, i choć spełniła go dobrze, to wykonała nie swoją robotę.

Choć to koniec przeprosin, to nadal będzie smutno. Otóż doszły mnie słuchy (wszędzie mam szpiegów). że pewna osoba odmówiła współpracy z gazetką używając argumentu: "bo słyszałem/łam złe opinie o tej gazetce". Nie mam nic przeciwko temu, że ktoś może nas nie lubić i nie chceć z nami gadać, ale takie słowa nie świadczą najlepiej o kilku sprawach. Po pierwsze: wolałbym, gdyby jednak każdy w szkole miał własne zdanie na temat Anytena (bo to by znaczyło, że każdy go choć raz przeczytał, a poza tym zawsze lepiej jest, gdy ludzie myślą sami a nie przyjmują cudze wartości). Po drugie: gazetka jest w całości gazetką ludzi ją czytających, czyli głównie uczniów tej szkoły. Każdy

może coś napisać i każdy może wpłynąć na jej kształt.

A teraz najsmutniejsza wiadomość: już ostatecznie i nieodwracalnie żegnam się z gazetką. Och, nie płaczcie tak bardzo... Dobra, dosyć megalomanii. Teraz na serio: matura już tuż tuż... Itak odchodzę najpóźniej ze wszystkich naczelnych AM, którzy odchodzili ze względu na maturę. Na każdego przyjdzie pora... Chciałbym się więc ze wszystkimi pożegnać i podziękować tym dwóm w ramce poniżej i wszystkim autorom, za zreanimowanie gazetki. Następny numer będzie już sygnowany przez kogoś innego. Odchodzę do krainy Wiecznych Naczelnych.

**Konrad "Groch" Grochowski**

P.S. Dejection, znaczy "przygnębienie":

## Dekonspiracja

### Autorzy tekstów

Basia "dittchen" Baczkowska	1A	Grzegorz "OKli" Smulko	3D
Artur Rycyk	1A	Maciek "A." Tokarski	3E
Zuzua Pacholczyk	3C	Anna Galuhn	3F
Ewa Nizińska	3C	Konrad "Groch" Grochowski	4C
Marta Szafranek	3C	Ryś "Lynx" Kostecki	7D
Piotr "Witos" Witek	3C		

### Redakcja

Konrad „Groch” Grochowski	- Naczelny
Grzegorz „OKli” Smulko	- Skład
Mateusz „Figlarz” Wolski	- Finanse

### Graficy

Anna Rogowska	4A
Sebastian Zakrzewski	1B
Jacek Kopec	3C
Andrzej Zajkowski	3D

## Porozmawiajmy o ocenach...

Pewnie wielu z Was powie: „O czym tu mówić? Oceny w szkole były, są, będą i nic, a raczej nikt tego nie zmieni.”

Chodzi nam jednak nie o sam fakt oceniania, czy jest potrzebne, czy nie etc., bowiem na ten temat napisano już dużo i tyleż samo przeprowadzono bezproduktywnych dyskusji...

Chciałyśmy natomiast podzielić się naszym nienowym już spostrzeżeniem... ale zaczniemy od początku...

Dawno, dawno temu (klasa I) miałyśmy pewien przedmiot zwany techniką. Nie wdając się w szczegóły, jednym z „gwoździ programu” było pisanie opisów doświadczeń. Raz w tygodniu każdy spędzał dłuugie godziny nad tajemnicami współpracy ciężarka z gumką modelarską tudzież inną, acz dosyć podobnej natury kwestią. Za każdą kolejną pracę Pan Profesor stawiał stopnie, coraz więcej i więcej i, gdyby rok szkolny 2000/2001 nie dobiegł szczęśliwie końca, nie wiadomo, czy starczyłoby

dla nich miejsca...

W klasie II techniki już nie było – pozostała fizyka. Choć zamiast opisów pojawiły się często – gęsto przeprowadzane kartkówki, to nie z tego przedmiotu ilość ocen osiągnęła absolutne (no dobra, globalne...) maksimum. [TO byłoby nazbyt proste, jak na „Hoffmanową”!]

Dla równowagi w obroty wzięła nas Pani Profesor od matematyki. Zaczęły się kartkówki, klasówki, sprawdziany... „Jak nie chcecie do mnie mówić, to będziecie do mnie pisać” – ostrzegła wspomniana nauczycielka i ani się obejrzelismy, a w dzienniku przy każdym nazwisku widniał rząd około 12 cyferek odzwierciedlających matematyczne umiejętności „pacjenta”...

I semestr klasy III... o palmę pierwszeństwa, co do ilości stawianych ocen walczyły Panie Profesor od biologii i angielskiego. W skutek kolejnych

I oczywiście wielkie pozdrowienia dla prof. Natorfa za wykorzystanie zera do zwiększenia liczby Anytenów.

odpowiedzi, kartkówek i „spiczy” etc. rubryczki na kartach zatytułowanych: „biologia”, „angielski” zapelniały się w zastraszającym tempie. Mieliśmy siedem ocen, ale nie szkodzi, warto przecież było mieć dwadzieścia siedem, bo to o krok bliżej do nieskończoności (doskonałości?).

Co nas czeka w tym półroczu???

Słowem zakończenia... chciałyśmy wam życzyć  $n$  piątek ( $n \rightarrow \infty$ ) i zaproponować konkurs... Wygra Ten/Ta Pan/Pani Profesor, który „nakreśli” w dzienniku najwięcej (najlepiej dobrych) stopni. Zgłaszajcie swoich kandydatów. Nagrody wyślemy pocztą...

PS. Wbrew pozorom naszym celem nie było zainspirowanie kogokolwiek...

**Ewa Nizińska**  
**Marta Szafranek**